

NR 50

kwiecień-czerwiec

2005

aleje 3

KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY

ISSN 1427-8812 CENA 2 zł





①



②



③



aleje 3

Kwartalnik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dra Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360 56 28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleja NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360 56 28
e-mail: aleje3@poczta.onet.pl

Teksty niezamówione nie będą
zwracane. Zastrzegamy sobie
możliwość opracowania i skracania
przysłanych materiałów.

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505 666 486
e-mail: mprawinis@poczta.onet.pl

Oprac. graf. numeru

Marian Panek

Skład i łamanie

Krzysztof Król

Druk

Drukarnia "TEXMET"

Publikacja współfinansowana
przez Samorząd Woj. Śląskiego

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają
poglądy Redakcji.

Myśleliśmy, że jest wieczny. Że nigdy nas nie zostawi, że będzie. Aż nagle Go zabrakło.

Dla wielu młodych był papieżem od zawsze. My, starsi, pamiętaliśmy Go przez długi ciąg lat, przez znaczną część naszego życia. Dziś, młodzi i starzy, równie nieporadnie szukamy określeń, które oddałyby Jego wielkość, pobożność, miłość do Boga, do Polski, do świata, do człowieka.

Nie ma takich słów, które byłyby w stanie opowiedzieć o Nim wszystko.

Dziś wszyscy prześcigają się we wspomnieniach o Polskim Papieżu – o Jego charyzmie, łagodności, poczuciu humoru, swobodzie. Nowy papież zawsze będzie porównywany do Jana Pawła II i niełatwa jest jego droga w cieniu tak wielkiego Pasterza.

Każdy ma swoją opowieść o Janie Pawle II. Nie ma w kraju osoby, która nie znałaby tego Papieża, nie widziała Go, nie słyszała, nie podziwiała Jego siły, mądrości, potem zaś nie poznała Jego niemocy i cierpienia.

Każdy wie, że przyczynił się do zmian w naszym życiu i w życiu całego świata. Szczególnie ważny był – jest, będzie – dla Polaków. Na Jego życie nakładał się bowiem przeciąg wydarzeń historycznych naszej współczesności – wojna, okupacja, okres stalinowski, socjalizm, budowanie drogiej Polski i każdej kolejnej.

W 1979 roku przyjechał do Częstochowy po raz pierwszy jako papież. Na Jasnej Górze długo w noc prowadził rozmowę z ludźmi. Aż w pewnej chwili tłum zaczął rzędnąć. Obecni zobaczyli już tego dziwnego człowieka, zaspokoiли swoją ciekawość, zaczęli odchodzić. Bo choć wszyscy czuliśmy dumę i radość, zapewne nikt nie przypuszczał, że Jego wizyta znaczy coś więcej. Był wówczas ważnym człowiekiem ze świata, ale wydawał się tylko gościem, kimś, kto przyjechał, zobaczył i odjedzie, a my zostaniemy ze swoimi sprawami. Któż przewidywał, jak wielkie zmiany nas czekają, że powstanie Solidarność, że można nadkruszyć i zwalić sowiecki stalowy blok? On to wiedział. Wiedział, bo patrzył dalej, daleko dalej niż my wszyscy. Umiał zobaczyć rzeczy, które dopiero miały się zdarzyć.

Gdy wyjechał, zrozumieliśmy, że to właśnie On daje nam siłę, oparcie, i że to On jest naszym punktem odniesienia. To papież Jan Paweł II zdjął nam bielmo z oczu i pokazał, że świat jest tuż za rogiem. Podejrzewaliśmy to, ale byliśmy ślepi i zbyt leniwi, żeby sprawdzić to osobiście. Zachęcał nas do otwierania oczu, przekakiwania płotów, przekraczania granic. I cierpiał, gdy okazywało się, że nie jesteśmy tak doskonali, jak w Jego wizji, że tak wiele brakuje nam do tego, byśmy byli mądrzy, prawi, szlachetni.

Ile z Jego posługi i życia zostanie w naszej pamięci? Może tylko: „Nie lękajcie się”, „Otwórzcie drzwi Chrystusowi”, „Jeden drugiego brzemiona noście”. Aż tyle.

I jeszcze to, że na Jego wspomnienie czasem płomykiem błyska w nas - dobro.

Aż tyle. Ziarnko do ziarnka...

Marian P. Rawinis



**JAN PAWEŁ II**

1920 – 2005

Fragmety z kalendarium życia Polskiego Papieża

18 maja 1920

- w Wadowicach, w rodzinie Wojtyłów - Karola i Emilii z Kaczorowskich - urodził się syn: Karol

Jesień 1938

- po maturze w Gimnazjum Męskim w Wadowicach Karol Wojtyła zapisał się na polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim

Jesień 1940

- rozpoczyna pracę w fabryce Solvay – jako robotnik

Jesień 1942

- rozpoczyna studia na Wydziale Teologicznym jako kleryk konspiracyjnego seminarium duchownego

Wiosna 1945

- debiutuje na łamach prasy poematem „Pieśń o Bogu ukrytym”

1 listopada 1946

- przyjmuje święcenia kapłańskie z rąk kard. Sapiehy

Lipiec 1948

- zostaje wikariuszem w Niegowici koło Wieliczki

Jesień 1948

- otrzymuje tytuł magistra teologii UJ i tytuł doktora (na podstawie pracy przedstawionej w Rzymie, gdzie studiował od jesieni 1946)

Wiosna 1949

- zostaje wikarym w parafii św. Floriana w Krakowie

Jesień 1954

- po habilitacji w 1953 r. rozpoczyna wykłady na KUL. Prowadzi także intensywną działalność duszpasterką (w tym turystyczną i sportową)

8 lipca 1958

- zostaje krakowskim biskupem pomocniczym

Jesień 1962

- wyjeżdża na Sobór Watykański II

Grudzień 1963

- zostaje arcybiskupem metropolitą krakowskim

Maj 1967

- zostaje kardynałem

16 października 1978

- zostaje wybrany na 264. w historii papieża, przyjmując imię Jan Paweł II

2-10 czerwca 1979

- pierwsza pielgrzymka do Polski; 2 czerwca wypowiedzi sławne później wezwanie: „Niech zstąpi Duch Twój. I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”

Lato 1980

- wspiera porozumienia sierpniowe i ruch „Solidarności”

13 maja 1981

- zamach na życie Jana Pawła II na placu św. Piotra w Rzymie – Polska i świat modlą się za papieża; papież przebacza zamachowcowi

grudzień 1981

- apeluje do W. Jaruzelskiego o zniesienie stanu wojennego w Polsce

16-23 czerwca 1983

- druga pielgrzymka do Ojczyzny, m.in. do Częstochowy; papież wspiera ruch niepodległościowy

8-14 czerwca 1987

- kolejna pielgrzymka do Polski (i Częstochowy)

Jesień 1988

- w Parlamencie Europejskim mówi o wspólnej Europie

1-9 czerwca 1991

- pielgrzymka do wolnej Polski

13-16 czerwca 1991

- w Częstochowie spotyka się z milionem młodych pielgrzymów przybyłych na VI Światowy Dzień Młodzieży

31 maja – 10 czerwca 1997

- pielgrzymka do Polski (i na Jasną Górę);

5-17 czerwca 1999

- pielgrzymka do Ojczyzny; papież składa wizytę w parlamencie; wspiera integrację Polski z Unią Europejską

18 stycznia 2000

- otwarciem drzwi w rzymskiej bazylice otwiera Rok Jubileuszowy Chrześcijaństwa

16-19 sierpnia 2002

- ostatnia pielgrzymka do Ojczyzny

Marzec 2005

- choroba – pierwsza od ćwierć wieku Droga Krzyżowa bez papieża

2 kwietnia 2005

- Jan Paweł II umiera; żałoba w Polsce i na całym świecie – głośne wołanie o kanonizację



Fot. Piotr Dłubak

MAŁŻEŃSTWO TEATRALNE

*Z twórcami spektaklu „Opowieści Gargantuiczne”
Katarzyną Deszcz i Andrzejem Sadowskim
rozmawia Dominika Radkowska*

„Opowieści Gargantuiczne” jest już Pani trzecią realizacją reżyserską tej sztuki. Czerpie Pani z poprzednich pomysłów czy są to trzy różne spektakle? Czy to również były Państwa wspólne prace?

Katarzyna Deszcz - Poprzednie wystawienia też były według scenariusza i ze scenografią Andrzeja, a w pierwszej wersji kostiumy opracowała Anna Sekuła. To jest temat, którego się nie da powtórzyć identycznie, nie da się odwzorować przedstawienia, ponieważ wersje scenariusza, które Andrzej przygotował na podstawie twórczości Rabelais'a są bardzo

otwarte, w tym scenariuszu są zmiany w porównaniu z poprzednimi. To jest taki materiał-baza, na którym się pracuje, korzystając z nowych pomysłów przychodzących z inwencji aktorskiej, więc to jest bardziej tworzenie z aktorami spektaklu wymyślonego. Powtarza się konwencja takiego ludycznego, jarmarcznego spektaklu, nie spektakl jako taki, bo tego się po prostu zrobić nie da.

Jest Pan autorem scenariusza i dialogów sztuki oraz scenografii powstającego spektaklu. Skąd Państwa zainteresowanie powieścią Rabelais'a, która jest wprawdzie barwna i bogata, lecz przy tym zbudowana na „niesmacznościach”, opisach czynności fizjologicznych, a do tego bardzo skomplikowana i nietatwa do przyswojenia?

Andrzej Sadowski – Rabelais jest geniuszem swojego czasu. Ta literatura renesansowa w żadnym momencie się nie dezaktualizuje. My się podobnie zachowujemy - tak jak zachowywali się ludzie renesansu, podobnie reagujemy, mamy podobne emocje, uczucia – tu niewiele się zmienia. Z tej gorszej strony Rabelais'a niewiele tutaj zresztą korzystamy. Najważniejsze, co ja odkryłem w tej literaturze, to jest pochwała życia i o tym będzie spektakl - o pochwalę witalności.

Kiedy pracujecie Państwo razem - czy mąż interesuje się reżyserią, wchodzi na Pani terytorium, a Pani na jego – adaptację i scenografię, czy podział zadań jest ścisły ?

K.D. – Udajemy, że nie wchodzi, ale kłócimy się przy realizacjach jak nigdy przy niczym... Żartuję. Bardzo długo już pracujemy razem. Mówi się, że są takie „stare małżeństwa” teatralne, które niekoniecznie są również małżeństwami w życiu. Andrzej nie wchodzi mi w reżyserię, to znaczy nie reżyseruje za mnie, nie przeszkadza, natomiast często ma uwagi, o które ja się czasem wściekam, czasem nie, ale ich słucham. Zresztą uważam, że przy wspólnym tworzeniu spektaklu, co często też dotyczy kompozytorów, zaciera się w pewnym momencie granica, kto co wymyślił, kto o czym zdecydował. To nie jest ważne, to jest jednak praca zbiorowa, również mnóstwo dorzucają aktorzy, i tak to powinno być. Rozdzielenie kto-co przestaje być ważne w momencie, kiedy się dobrze zespołowo pracuje.



Po ukończeniu reżyserii w Studium Teatralnym zdał Pan na ASP w Krakowie. Obrął Pan ten kierunek z myślą o teatrze, o scenografii, czy chciał Pan być malarzem, rzeźbiarzem, grafikiem?

A. S. - Rzeźbiarzem byłem w pracowni prof. Koniecznego, ale moje pierwsze kroki zostały skierowane ku teatrowi, m.in. Teatrowi STU – tam wsiąknęłam i rzadziej przychodziłam na zajęcia na Akademii i moje rzeźby zupełnie wyschły. Teatr - to był główny powód mojej absencji w zajęciach. No i nastąpiło naturalne rozstanie się z uczelnią ...

Niedługo potem zdobył Pan wykształcenie aktorskie – czyli wszystkie ważniejsze zawody teatralno - filmowe miał Pan w ręku. Spotkał Pan Panią Katarzynę – studentkę reżyserii PWST i absolwentkę prawa UJ. Wtedy powstał Wasz Teatr Mandala. Jak?

A. S. – Przypadkiem i nie przypadkiem... Żyliśmy w takim wąskim środowisku, wszyscy mieliśmy zainteresowania teatralne i postanowiliśmy, że powstanie teatr, w którym będziemy mogli robić to, co chcemy robić. I takie też były początki. One nie określały jeszcze, jak to naprawdę miało wyglądać.

Nazwa przywodzi na myśl inspiracje wschodnie – buddyjskie. Było ich więcej w Państwa twórczości?

A. S. Tak. Pierwszych siedem lat poświęciliśmy na penetrowanie i poszukiwania w takim rejonie związanym z technikami teatru orientalnego. To dotyczyło technik aktorskich, sposobów budowania przedstawień, ja zwłaszcza sporo pracowałam nad próbą przeniesienia na grunt europejski doświadczeń japońskiego teatru No.

W swoim życiorysie napisał Pan: „nie zajmuję się wystawianiem sztuk, za to zajmuję się tworzeniem spektakli”. Czy w ten sposób podkreśla Pan, że to, co nabiera kształtu na scenie, zaczyna się od gruntownego opracowania przez Pana tekstu dramatu, opowiadania, a jego reżyseria jest dalszym ciągiem Pana indywidualnej wypowiedzi?

A. S. – Dokładnie tak. To jest kwestia pewnej adrenaliny, którą się ma, albo nie ma w kontakcie z jakąś materią sztuki. Zauważyłam już od dłuższego czasu, że więcej satysfakcji daje mi robienie czegoś zupełnie od początku, niż korzystanie z jakiegoś

gotowego wzoru, chociażby napisanego dramatu. A jeżeli już korzystam, to też w taki sposób, że właściwie próbuję tworzyć całkiem nową jakość. Budowanie od nowa jest przyjemniejsze, niż opieranie się na gotowym schemacie.

W Pana dotychczasowych częstochowskich realizacjach zauważyłam pewną cechę w budowaniu scenografii: sytuowanie głównych elementów dekoracji w jednej płaszczyźnie, a wzbogacanie głębi przez działania innej natury: operowanie światłami bądź projekcją filmową. Jaka będzie scenografia do „Opowieści Gargantuicznych”?

A. S. - Scenografia będzie bardzo prosta, ale na podobnej zasadzie. Zamierzamy wybudować kilka podestów, które będą służyły zarówno jako zasłony, jako miejsca gry, będą i statkiem, i stołem – będzie to zatem przede wszystkim funkcjonalna i niezwykle prosta dekoracja, łatwa do przenoszenia. Myślimy również o tym, żeby ten spektakl był prezentowany w plenerze. Musi to być zatem scenografia mobilna, bardzo uniwersalna, bo nie w bogactwie scenograficznym leży zamysł tego przedstawienia, a w bogactwie użytych środków aktorskich. Ja po prostu staram się scenografią nie przeszkadzać aktorom.

Czy fakt, że często opracowujecie Państwo sztuki współczesnych autorów z różnych krajów jest wynikiem Waszej pracy teatralnej poza Polską?

K.D. – Na pewno tak. Ten świat teatralny jest teraz taki, że jak się pojawia dobry tekst współczesnego autora, to wieść o tym obiega bardzo szybko świat. W tej chwili ogromnie aktywni są tłumacze z języka angielskiego na polski, jest walka o prawa do tłumaczenia. Natomiast niewątpliwie sporo podróży pomaga w znalezieniu innej perspektywy spojrzenia na to, co się robi.

A. S. - Ja niezbyt dobrze myślę o polskim młodym dramacie – wydaje mi się, że bardzo mało ukazuje się u nas rzeczy naprawdę interesujących i stąd czerpanie z tego, co powstaje w Niemczech, w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych. Rzeczywiście, dużo podróżujemy i wiele naszych wyborów powodowanych jest poznaniem jakichś ludzi, środowisk, miejsc. Myślę, że czasem bardzo dobrze jest spojrzeć z dystansu na naszą rzeczywistość, mając zaplecze w postaci sztuki dramatycznej czy autora z zewnątrz. Jest to ciekawe wyzwanie.



Pytanie ze sfery fantazji: macie Państwo marzenie o jakimś bardzo trudnym artystycznie albo finansowo projekcie, może nawet zupełnie nierealne?

K.D. - „Chodzi za mną” jeden tekst, który jest niebywale trudny artystycznie. Dokładnie wiem, jak to powinno wyglądać. Bardzo niekomercyjny, w związku z tym nawet próbowałam namówić na to różnych dyrektorów teatrów – nie zgodzili się i sama teraz, będąc dyrektorem teatru, nie zaryzykowałabym tego tekstu, nawet nie ze względu na ryzyko artystyczne, czy to się uda, czy nie, tylko dlatego, że w założeniu jest to tekst dla bardzo wąskiej grupy, bardzo specyficznego widza.

A. S. – Ooo, mniej więcej co pół godziny się takie marzenie pojawia. Dużo rzeczy chciałoby się realizować, ale wydaje mi się, że oboje mamy zasadę trzymania się blisko ziemi, nie myślimy o rzeczach nierealnych. Wiadomo, że każdy marzy o jakiejś ekstra-realizacji szekspirowskiej, prawda? O tym, żeby zrobić przedstawienie swojego życia. Tylko, jeżeli się czegoś naprawdę chce i do czegoś bardzo usilnie dąży, to bardzo często nie zauważa się mnóstwa rzeczy po drodze, a te mniejsze projekty są równie fascynujące i równie satysfakcjonujące. Nie mamy obsesji czegoś niesamowitego. Myślę, że dążeniem Katarzyny jest, żeby Teatr w Częstochowie „sprzedać” Polsce, to znaczy, żeby o tym teatrze się słyszało, żeby o tym teatrze się dyskutowało i to obojętnie, czy w kategoriach skandalu, czy w kategoriach osiągniętego arcyzmu, ale o to chodzi, żeby mówiono o tym, co się dzieje, bo nie ma nic gorszego, jak obojętność wobec artystów czy wobec sztuki, która się w jakimś miejscu odbywa. I to jest chyba najważniejszy cel Katarzyny, który powoli, powoli zaczyna być realizowany.

Czy mogę zapytać o inne prace równoległe do „Opowieści Gargantuicznych” i plany realne?

K.D. – Po „Opowieściach Gargantuicznych”, na jesieni przymierzamy się do „Poskromienia złościcy” w Teatrze w Częstochowie. Jest jeszcze trochę pomysłów i planów poza teatrem, które muszą uzależnić od tego, jaki będzie stopień konieczności bycia w teatrze.

A. S. – Ja nadal utrzymuję pewną, którąś już wersję mandalowej grupy. To się nazywa w tej chwili a&a&a (art&action&attraction). W najbliższym miesiącu robię dwie premiery z moimi współpracownikami, a tutaj powoli przygotowujemy się do większej produkcji, jaką będzie „Odyseja” wg Homera, którą zamierzam również w pewien sposób napisać od początku, to znaczy przełożyć język Homera na język współczesnej wrażliwości, zwłaszcza język ludzi młodych.

Wspomniał Pan w życiorysie, że współpraca z formacją a&a&a to nowy etap w Pańskiej twórczości. Na czym polega ta nowość?

A. S. - Całkowicie zrezygnowaliśmy ze wszystkiego, co zrobiliśmy do tej pory. To było podstawowe założenie: nie odcinać kuponów od dwudziestoparoletniej historii teatru, który już nie istnieje, niczego nie robić w podobny sposób. Między innymi, zacząłem pracować z tancerzami. Nigdy nie robiłem spektakli o charakterze tanecznym, a w tej chwili jest to moja próba zdobycia nowej umiejętności – próbuję pracować jako tzw. reżyser tańca. To jest bardzo dla mnie ciekawe, bo to zupełnie nowa dyscyplina. Tak to się odbywa – szukamy tego, czego nie robiliśmy do tej pory. Czasami jest trudno, bo już sporo robiliśmy różnych rzeczy, począwszy od performance’ów, instalacji, przez sztukę akcji, happeningi czy „zwykłe” spektakle teatralne, ale wierzę w to, że jeszcze są takie dziedziny, w których nie próbowaliśmy sił i to będziemy robić.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

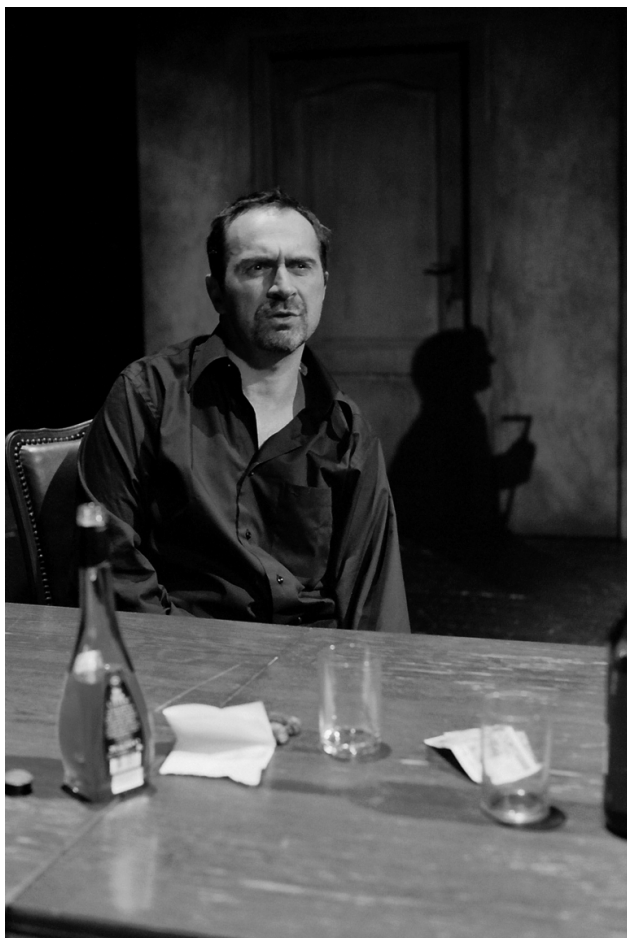
*Premiera „Opowieści Gargantuicznych”
wg Francois Rabelais w Teatrze im. Adama
Mickiewicza w Częstochowie 23 kwietnia 2005 r.*

Reżyseria: Katarzyna Deszcz

Scenariusz, dialogi, scenografia: Andrzej Sadowski

Muzyka: Kazimierz Pyzik

Występują: Iwona Choluż, Teresa Dzielska, Sebastian Banaszczyk, Waldemar Cudzik, Bartosz Kopeć, Adam Loniewski, Antoni Rot, Robert Rutkowski



Fot. Piotr Dłubak

Grochowiak w częstochowskim teatrze

„Lęki poranne” aż nadto ładne

*Powolał go Pan
Na słup
Na słupie miał dom
i grób.*

*A ludzie chłopaka na szafot przywiedli,
Unieśli mu głowę w muskularnej pętli
Powolał go Pan na stryk. (...)*

Grochowiak miałby dziś za sobą siedemdziesiąt lat życia oraz prawdopodobnie pięćdziesiąt lat działalności literackiej – prozatorskiej, poetyckiej, dramaturgicznej – debiutował w 1956 roku. Swoim zbiorem wierszy „Ballada rycerska” (zaliczanym do najważniejszych wydarzeń literackich przelomowego 1956 roku) został okrzyknięty przez krytykę za jeszcze jednego, obok Herberta, Białoszewskiego, Harasimowicza

– wybitnego młodego poe \acute te. Poe \acute tę zwracającego uwagę upodobaniem do groteski, ekspresyjnej deformacji, makabry, antyestetyzmu, brzydoty, szkaradnego obrazu poetyckiego, odpychających życiowych doświadczeń, prezentowania ludzkiego okrucieństwa. Uff! Grochowiak naprawdę zwracał uwagę swojego pokolenia. Ten urodzony buntownik, który miał za sobą rok stalinowskiego więzienia za poglądy polityczne, wzruszał przede wszystkim turpistyczną prawdą. Grochowiak z mistrzostwem nawiązywał w swojej twórczości również do wielu tradycyjnych wartości literackich – średniowiecznych poematów Villona, wierszy Trubadurów, barokowego wiersza, późnoromantycznej, symbolistycznej poezji Baudelaire’a i Verlaine’a, czy japońskiego haiku.

Najwięcej realizacji scenicznych oprócz kultowych „Chłopców” czy „Okapi”, doczekały się „Lęki poranne”. Sztuka o samotności, alienacji, alkoholizmie, ludzkiej głupocie, hipokryzji, zakłamaniu, ludzkim okrucieństwie po jednej stronie, a po drugiej to dramat o potrzebie miłości, o bólu przegranego życia, wybaczeniu innym, gniewie, poszukiwaniu prawdy o sobie, o wąskiej granicy między dobrem a złem.

Częstochowska premiera „Lęków porannych” w reżyserii Bogdana Michalika (dyr. częstochowskiej sceny w latach 1983-86) nie należy niestety do udanych. Realizacja wymaga bez wątpienia dopracowania. Wymaga reżysera. Można się zapytać, gdzie był, co robił reżyser? Bo sztuka Grochowiaka została pozbawiona ducha ekspresji. Nie jest ani groteskowa, (choć widać nieśmiałe próby), ani realistyczna (niestety, nic z tego nie wyszło, widać brak dystansu do dramatu większości realizatorów) ani turpistyczna, ani nie jest psychologiczną poetycką opowieścią zmagania alkoholika z chorym zakłamanym światem i jego zwyczajnym złem. Na częstochowskiej scenie „Lęki poranne” wypadły „ładnie i zabawnie”. Są eklektyczne, nudnawe, przydługawe. Są tylko wtedy interesujące, gdy rodzi się poetycka prawda sceniczna. Wciągają tylko sceny, dialogi pomiędzy Alfem (Marek Śłosarski), a Bisem (Waldemar Cudzik). Alf to rola trudna, można powiedzieć, że piekielnie trudna. Tu nie ma zmiłuj się.



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

Trzeba w niej połączyć wewnętrzną ludzką aktorską prawdę z poetyką całości realizacji. Tej poetyki w spektaklu nie wypracowano. Markowi Ślosarskiemu pozostało zgrabnie połączyć kilka stanów psychologicznych walczącego z nałogiem alkoholika. Broni się na scenie postać Coli Bryniona grana ze znanostwem przez Andrzeja Iwińskiego (jubileusz 45 lat na scenach polskich), bronni się zawodowym graniem z partnerami i do widowni. Posiada jedynie ona poetycki



Fot. Piotr Dłubak

wymiar, mimo przerysowania beznadziejnym kostiumem (o plastyce scenicznej później) Iwiński proponuje delikatne rozrysowaną postać pięknoducha, oryginała, wizjonera, ciepłego otwartego na ból i ludzkie nieszczęście autsajdera. Iwiński próbuje również zagrać dramatyczny wątek swej bezradności, tragedię osoby niepotrafiącej pomóc przyjacielowi, mimo najlepszych chęci.



Fot. Piotr Dłubak

Plastyka sceniczna, a zwłaszcza kostiumy – poza Bisem – nie pomagają aktorom. Są przeciw nim, udają jakąś współczesność. Jaką? Myślę, że spełniają w modzie codziennej wymagania późnych lat siedemdziesiątych. Są bardzo przypadkowe, nie związane z graną postacią – można powiedzieć „od Sasa do lasa”. Natomiast ciekawym plastycznie fragmentem dekoracji jest kredens. Zrobiony z dwóch lustrzanych meblów, wypełniony różnej wielkości popsutymi lalkami, czy ich licznymi częściami. Przypomniałem sobie zaraz jeden z lustrzanych obrazów Mariana Michalika pt. „Stan wojenny”. Ciekawe czy scenograf (Ryszard Meliwa) celowo zrobił to nawiązanie? Największym błędem w rozwiązaniu przestrzeni scenicznej było ustawienie stanowiska fryzjerskiego zbyt daleko od widowni. Mimo że stało na podeście zagrało tylko trzy razy. Innym „nieszczęściem” stał się bardzo „wyrafinowany” mebel, tak zwane wysokie krzesło barowe. Wystawione przed kurtynę, świadczy o tym, że reżyser miał pewien „pomysł” jak tu ratować ruch aktorów i sytuację w przestrzeni scenicznej.

Na tym dość wybrzydzenia. A na marginesie, trzeba generalnie zastanowić się nad sensem podjętej przez zespół realizacyjny pracy i mimo wszystko znaleźć poetycki klucz do spektaklu. Na pewno mocniejszy turpistyczny jego charakter oraz określić przestrzenny zdecydowany wyraz. Może to się jeszcze uda?

Dał to temu przedstawieniu Janusz Yanina Iwański, tworząc muzyczne jego tło, dowodząc swojego twórczego myślenia również w teatrze.

Marian Panek



Kultura w mieście

Tożsamość i promocja -

o zadaniach, planach i wyzwaniach
- mówi prezydent Częstochowy
Tadeusz Wrona

Jakie jest miejsce kultury w strategii rozwoju miasta ?

Kultura, dziedzictwo kulturowe, twórczość kulturalna, sztuka – to czynniki o podstawowym znaczeniu dla naszego rozwoju. Po pierwsze dlatego, że są czynnikami integrującymi naszą lokalną społeczność; po drugie: to forma spłaty długu poprzednim pokoleniom; po trzecie: budują świadomość i poziom mieszkańców. A w końcu, są niezwykle ważnym elementem promocji miasta - w województwie, w Polsce, w świecie. Każdy z tych elementów przekłada się na konkretne działania. Urząd Miasta i miejskie instytucje kultury inspirowały wiele działań, które idą w tych czterech kierunkach.

Integracji mieszkańców Częstochowy, budowaniu patriotyzmu lokalnego, tożsamości lokalnej ma służyć wiele inicjatyw: Dni Częstochowy, Dzień Samorządu Terytorialnego, imprezy kulturalne w dzielnicach, a także Sylwester na Placu Biegańskiego. Inicjatywy takie budują więź mieszkańców jako obywateli miasta, świadomych tego, że są współtwórcami wspólnoty samorządowej. Kształtowaniu patriotyzmu lokalnego służy również ochrona materialnych zabytków dziedzictwa kulturowego.

W ciągu minionego roku rozpoczęliśmy remonty wielu cennych obiektów, które na naszych oczach się degradowały. Mówię o budynku Ratusza, o obiektach które pozostały po wystawie rolno-przemysłowej w parkach jasnogórskich: zagrodzie włościańskiej, pawilonie B. W przyszłości planujemy też remont obserwatorium astronomicznego. Rozpoczynany w tym roku remont „popówki” i zabytkowej kamienicy przy skrzyżowaniu Alei i Kościuszki.

Dla tożsamości i integracji mieszkańców, remont ratusza miejskiego jest bardzo istotny – ten budynek jest przecież symbolem miasta i samorządności. W tym miejscu te dwa pojęcia łączą się nierozdzielnie.

Jeśli mówimy o kwestii naszej lokalnej tożsamości, to wydarzeniem były Dni Pamięci - Żydzi Częstochowianie, podczas których uhonorowaliśmy prawie trzydziestotysięczną grupę mieszkańców Częstochowy, bestialsko zamordowanych w czasie wojny. Tożsamość tworzy bowiem pamięć o prawdziwej historii miasta, bez białych plam i stref niepamięci.

Mówimy tu o bezpośrednich działaniach Urzędu Miasta. Dla odbiorców ważniejsza jest codzienna działalność placówek kultury...

Zadaniem instytucji publicznych jest propagowanie kultury, zwłaszcza w jej najwyższej formie, i poprzez to kształtowanie gustów. Wiele zależy od profesjonalnego działania wszystkich instytucji. To jest bardzo ważne, bo dzięki instytucjom takim jak Filharmonia, Teatr, Galeria Miejska, Gaude Mater, Muzeum, można - jeżeli ma się rzeczywiście wizję - zrobić w tej mierze bardzo, bardzo wiele.

Ważne jest, aby działania naszych miejskich instytucji kultury były jak najwyższej próby. Dlatego w tym roku będzie znów znakomity Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” - jedna z najbardziej znanych z imprez muzycznych w Polsce. Będzie wiele znakomych koncertów w Filharmonii Częstochowskiej, która obchodzi w tym roku 60-lecie swojego istnienia. Nie zabraknie interesujących wystaw w Częstochowskim Muzeum, które obchodzi właśnie swoje stulecie. Już przygotowujemy się do przyszłorocznej wystawy historycznej miasta Częstochowy, którą chcemy pokazać na otwarciu Ratusza po jego remoncie. Tak, by te odnowione mury wypełnić ekspozycją, której jeszcze do tej pory nie stworzono, mimo, że aż się prosiło o taką lekcję historii naszego miasta. To będzie wystawa stała: o uczciwej, prawdziwej historii miasta, z wszelkimi zachowanymi dokumentami i rekwizytami.

Nie możemy zapomnieć o kolejnych ciekawych premierach w teatrze, który wraz z objęciem stanowiska dyrektora przez Katarzynę Deszcz wszedł na zupełnie dla niego nową drogę. W zeszłym roku nasz teatr zdobył na kilku rodzimych festiwalach nagrody i wyróżnienia. W czerwcu „Skrzyneczkę bez pudła” można będzie obejrzeć w Warszawie, w Teatrze Dramatycznym. Dopracowaliśmy się w teatrze znakomitego zespołu aktorskiego i jeżeli jest on zarządzany przez świetnego organizatora i reżysera, jakim jest Katarzyna Deszcz, efekty są widoczne. W kształtowaniu gustów ważną rolę odgrywać będą ciekawe wystawy w Miejskiej Galerii Sztuki oraz uruchomienie w części jego sal Muzeum Zdzisława Beksińskiego. Odwiedzanie tych instytucji prezentujących wysokiej próby dzieła artystyczne zwiększa wrażliwość odbiorców.

Kolejnym wspomnianym elementem jest promocja. Kultura jest znakomitym elementem promocji, dlatego staramy się pochwalić osiągnięciami i najlepszymi kartami naszej historii na zewnątrz.

Będą huczne obchody Obrony Jasnej Góry?

Oczywiście, najbardziej spektakularne tegoroczne uroczystości to jubileusz 350-lecia Obrony Jasnej Góry w Częstochowie. Wspólny komitet organizacyjny miasta i Klasztoru Jasnogórskiego wiele już w tej materii zdołał, nasz piękny kalendarz upamiętniający te wydarzenie został zakwalifikowany do finału ogólnopolskiego konkursu na



kalendarze i wydawnictwa okolicznościowe. Można go aktualnie oglądać w muzeum w Pałacu Wilanowskim w Warszawie, gdzie jest na jednej ścianie tuż obok pracy, która otrzymała Grand Prix. W sierpniu odbędzie się wielki koncert na błoniach jasnogórskich, z udziałem 2. Programu Telewizji Polskiej, która objęła patronat nad przedsięwzięciem. Widowisko historyczno-muzyczne będzie transmitowane bezpośrednio, również przez Telewizję Polonia, na cały świat.

Uzyskaliśmy zgodę Narodowego Banku Polskiego na emisję okolicznościowych monet - dwudziestozłotówki srebrnej i dwuzłotówki - które normalnie wejdą do obiegu. Po raz pierwszy w naszej historii monety z Częstochową znalazły się w obiegu. A więc widać, że jest to bardzo szeroka, kompleksowa promocja historycznego wydarzenia.

Wspomniana rocznica ma niezwykle znaczenie; ten symbol - obrony Częstochowy - tak pięknie opisany przez Sienkiewicza w świadomości nie tylko częstochowian, ale świadomości narodowej Polaków, jest opoką, na której można się zawsze oprzeć. Symbolizuje nadzieję, że nawet w najtrudniejszej sytuacji Polacy winni wierzyć, iż przemocy można nie ulec. Że nawet w takich sytuacjach, jak w czasie potopu szwedzkiego, dobro zwycięży. Taka nadzieja jest bardzo ważna.

Przeciętny częstochowianin szuka nie tylko pokrzepienia serc przykładami z historii...

Niewątpliwie i dlatego z pewnością znakomicie służy integracji mieszkańców i promocji miasta pomysł Nocy Kulturalnej. Ten pomysł wyzwala inicjatywę mieszkańców, uruchamia aktywność ludzi w działaniach na rzecz miasta. Grupa młodych ludzi zainicjowała to przedsięwzięcie wspólnie z instytucjami kultury, zarówno miejskimi jak i prywatnymi, i powstało coś bardzo ciekawego i dobrego. W tym roku Noc Kulturalna będzie 25 czerwca, w okresie lata. Mam nadzieję, że będzie w niej uczestniczyć jeszcze więcej osób. Spodziewamy się jeszcze ciekawszej oferty, chociażby z tego powodu, że na pewno tym razem znaczna część restauracji, klubów muzycznych czy pubów, również przystąpi do tej inicjatywy. Wcześniej nie wszyscy się w to angażowali, nie wiedząc, jak to wszystko wyjdzie, czekali z boku obserwując efekty.

Te wszystkie działania są bardzo istotne, robione konsekwentnie. Wizja rozwoju naszej kultury musi być zapisana przez konkretnych twórców, animatorów kultury, konkretne osoby i konkretnych odbiorców. Sądzę, że ważna była również wymiana poglądów na II Kongresie Kultury, gdzie można było przeanalizować istniejące mechanizmy i szukać nowych rozwiązań wspomagających nasze środowisko kulturalnemu. Na bieżąco, o tym się często rozmawia na posiedzeniach Rady Kultury przy Prezydencie Częstochowy.

Gdzie jest prawdziwa dyskusja, tam pojawiają się różnice zdań. Taka – na przykład – dotyczy tworzenia Muzeum Beksińskiego...

Z pewnym niesmakiem czytałem w prasie wypowiedzi w momencie śmierci artysty. Mówimy o tym od dwóch lat, od czasu, gdy pierwsze prace Beksińskiego zostały przekazane przez pana Piotra Dmochowskiego – marchanda z Paryża. W czasie ostatniej wizyty pana Dmochowskiego wspólnie ogłosiliśmy wolę utworzenia muzeum Zdzisława Beksińskiego w Częstochowie. Dziwię się w związku z tym, skąd powstał ten problem teraz, jeżeli go nie zgłaszano wtedy. Sądzę, że nie może być tak, że ktoś się uważa za wyrocznie, nawet jeżeli jest znakomitym krytykiem sztuki. Częstochowa powinna być takim miastem, któremu zależy na tym, żeby tworzyć jak najwięcej nowych propozycji kulturalnych. Powinno nam zależeć na powstaniu każdego nowego muzeum, oddziału muzeum lub galerii. Dobrym pomysłem jest, na przykład, Galeria Etnograficzna w Zagrodzie Włosciańskiej, gdzie będzie nowa, odrębna propozycja muzealna, wystawa etnograficzna sztuki ludowej.

Muzeum Beksińskiego, podobnie jak muzeum Dudy – Gracza, to sprawy jeszcze nie zamknięte. Nie rozwiązany jest także problem muzeum Haliny Poświatowskiej. Są to inicjatywy wymagające jeszcze wielu rozmów i ustaleń. Myślę jednak, że właśnie tworzenie nowych, prawdziwych, poważnych, atrakcyjnych dla zwiedzających miejsc, działa także na rzecz zatrzymania w Częstochowie na dłużej przyjeżdżających tutaj pielgrzymów i turystów. Każda placówka kulturalna, każda oferta kulturalna, skierowana jest z jednej strony do mieszkańców miasta i mieszkańców regionu, może być magnesem, który powoduje, że ktoś przyjeżdżając do Częstochowy, na Jasną Górę, będzie chciał dotrzeć jeszcze dalej, coś zobaczyć, zostać na dłużej..

Trzeba szukać takich pomysłów nie tylko w miejskich placówkach. Przykładem jest Muzeum Zapalek, które odwiedza coraz więcej osób z zewnątrz. To dla turystów i osób z zewnątrz jest interesującą propozycją. Tego nie spotka się gdzie indziej - muzeum, które funkcjonuje jako zakład produkcyjny z oryginalnymi starymi maszynami i technologiami produkcji.

Jest miejsce dla enografii, dla starych maszyn, będzie także dla częstochowskich artystów?

Oczywiście, staramy się eksponować przede wszystkim częstochowskich artystów. Środowisko częstochowskich twórców kultury jest chlubą naszego miasta. Odszukujemy wszystkich, którzy mają częstochowskie korzenie. Światowy Kongres Częstochowian był tego pierwszym, bardzo dobrym krokiem. Dzięki niemu poznaliśmy wielu częstochowian rozsianych po Polsce i po świecie, których trzeba pokazywać i którymi należy się chwalić. Przykład Ludmiły Mariańskiej, wielkiej polskiej poetki, która mieszka w Warszawie, ale czuje się zakorzeniona w naszym mieście

i która już dzisiaj przekazała do Muzeum Częstochowskiego część swoich zbiorów rodzinnych.

Wszyscy, którzy mają jakiś związek z Częstochową powinni być pokazywani i eksponowani. To nie znaczy jednak, że jeżeli jest możliwość - tak jak w przypadku twórczości Zdzisława Beksińskiego - stworzenia pewnej ważnej propozycji z punktu widzenia turystyki, to mamy ją po prostu nieroztropnie odrzucać.

Kultura jako atrakcja turystyczna?

Musimy wzmacniać ofertę Częstochowy i doprowadzić do zrealizowania pewnego strategicznego zadania: zatrzymania turystów i pielgrzymów na dwa, a może trzy dni w Częstochowie. Do tej pory zostają oni na dwie, trzy godziny...

Kultura jest tutaj znakomitym magnesem, tylko musi to być kultura wysokiej próby. Oczywiście w krajobrazie kulturalnym Częstochowy najważniejsza jest Jasna Góra. Nasza miejska oferta kulturalna powinna reprezentować odpowiednio wysoki poziom, by stać się dobrym uzupełnieniem. Tak, by pielgrzymi i turyści przyjeżdżający na Jasną Górę wiedzieli że warto zatrzymać się w Częstochowie, by tutaj zamówić hotel i zostać na drugi dzień. A jeżeli będzie jeszcze ciekawa oferta z Jury Krakowsko - Częstochowskiej, to może zostanie na trzeci dzień. Chcąc osiągnąć ten cel założyliśmy Częstochowską Organizację Turystyczną, aby miasto Częstochowa, wspólnie z gminami jurajskimi, z Klasztorem Jasnogórskim, biurami podróży, wspólnie promowały i tworzyły ofertę turystyczną miasta i regionu.

Ten proces przekłada się również na dochód częstochowskich firm i mieszkańców Częstochowy, bo w naszym mieście będą zostawać konkretne pieniądze. Bardzo dobrym przykładem jest Santiago de Compostela. Miasto w Hiszpanii, pierwsze na szlaku pielgrzymkowym w Europie. Jest miastem dużym, bo prawie stutysięcznym, w porównaniu z małymi miastami-sanktuariami jak Lourdes, Fatima czy Loreto. Istnieje duże podobieństwo między problemami istniejącymi w Santiago oraz Częstochowie. Tylko, że oni mają wiele z nich już za sobą. Nas czeka jeszcze wiele pracy...

To jest w pigułce strategia tego, co chcę robić. Pozyskuję do współpracy ludzi, rozmawiam i udaje się tworzyć wspólny front właściwie ze wszystkimi, którym zależy na Częstochowie. To jest bardzo istotne, bo nie wystarczy mieć dobry pomysł - trzeba umieć go jeszcze zrealizować. Trzeba wiedzieć, jakie instrumenty do tego użyć, trzeba być w działaniu konsekwentnym. Na drodze są przeszkody prawne i przeszkody wynikające z zaszczości. Ważne jest wzorowanie się na pewnych mechanizmach, które działają w innych miastach europejskich. Dzięki unijnemu grantowi podjęliśmy współpracę w ramach programu COESIMA - z innymi miastami europejskimi (Santiago de Compostella, Lourdes, Loreto, Patnos, Altotting) słynącymi z ważnych sanktuariów. Co chwilę pojawiają się różne pomysły, by Częstochowę rozwijać i udaje się nam je powoli pomału realizować.

Możliwość zgromadzenia w Częstochowie dzieł tragicznie zmarłego Zdzisława Beksińskiego - o czym wspomina w poprzednim naszym tekście prezydent Tadeusz Wrona - wzbudziła burzliwą i głośniejszą tzw. dyskusję środowiskową. Przedstawiamy najbardziej charakterystyczne opinie.

**Czesław Tarczyński,
dyr. Miejskiej Galerii Sztuki**

Idea utworzenia galerii obrazów Zdzisława Beksińskiego w Częstochowie powstała już dwa lata temu. Nie jest to więc inicjatywa związana z tragiczną śmiercią artysty, jak sadzą niektórzy.

Propozycję zorganizowania stałej ekspozycji złożył pan Piotr Dmochowski - kolekcjoner, wykładowca na Paryskim Uniwersytecie, właściciel obrazów.

Propozycja ta została przedstawiona podczas wystawienia w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie 49 obrazów Zdzisława Beksińskiego wypożyczonych z Muzeum Historycznego w Sanoku.

Miejska Galeria Sztuki czekała w kolejce na możliwość pokazania tej wystawy w Częstochowie cztery lata. Wystawa cieszyła się wielkim zainteresowaniem zwiedzających częstochowian oraz przyjezdnych. Stąd propozycja Państwa Dmochowskich związana z użyczeniem obrazów z własnej kolekcji.

Obecnie pokazujemy zestaw 15 obrazów olejnych, a po pozyskaniu w wyniku modernizacji pawilonu „F” Miejskiej Galerii Sztuki dodatkowej powierzchni, pokażemy dodatkowo 35 obrazów wybranych z kolekcji Państwa Dmochowskich oraz około 100 rysunków.

Po upływie okresu użyczenia kolekcji (5 lat) Miejska Galeria Sztuki będzie zabiegała o przedłużenie umowy użyczenia, jeśli to będzie niemożliwe, włączy te powierzchnie do ekspozycji wystaw zmiennych.

Obecnie istnieje tylko jedno Muzeum Zdzisława Beksińskiego, w Japonii, w Osace.

W Muzeum Historycznym w Sanoku jest zbiór dzieł przekazywanych systematycznie przez autora oraz prace, które znalazły się tam w wyniku realizacji testamentu.

Częstochowa stanęła przed kolejną szansą podniesienia atrakcyjności oferty turystycznej i kulturalnej.

W Miejskiej Galerii Sztuki zaistnieje możliwość prezentacji własnego dorobku artystycznego środowiska obok obrazów mistrza, co podniesie rangę wydarzeń.



Bartosz Frączek, artysta plastyk

Wydaje mi się, że Miejska Galeria Sztuki nie jest miejscem dla wystaw stałych; do tego służą instytucje muzealne. Poza tym, nie widzę zbyt dużych związków śp. Zdzisława Beksińskiego z Częstochową.

Piotr Głowacki, krytyk sztuki

Ponieważ rozpętałem tą bitwę...

W wyłącznej mierze to ja przyczyniłem się do przekazania depozytu 16 obrazów Beksińskiego dla MGS w 2003 r. przez Piotra Dmochowskiego. Więc również mam w jakiś mierze chociażby prawa do przynajmniej honorowej własności intelektualnej co do tego pomysłu. Trzeba jednak zdecydowanie powiedzieć, że nie jestem przeciwnikiem jakiegokolwiek muzeum. Chodzi natomiast o to, by nie wkraçało ono w obszar przestrzeni ekspozycyjnej Galerii.

Nie chcę tu wchodzić szczegółowo w spłot - z niezrozumiałych dla mnie powodów drażliwych dla władz galerii i miasta - kwestii związanych z forsowanym pomysłem. Stawiają one projekt tego muzeum właśnie w ten sposób, że jego realizacja wydatnie ograniczy funkcjonowanie jedynej o odpowiedniej kubaturze i prestiżu galerii w Częstochowie. W sytuacji dewastacji całego obiektu Cepelii i zrujnowanej kolekcji malarstwa polskiego w Muzeum Częstochowskim (od 1996).

Ciągle wierzę, że nie sprawdzi się kasandryczna wizja Janusza Jadczyka. Pisał on, czego nie mogłem wtedy - rok 2003 - pojąć, że zestaw obrazów Beksińskiego z francuskiej kolekcji jest koniem trojańskim kultury częstochowskiej.

Program Galerii i jej zamierzenia realizuje się przecież z myślą o jak najszerzym odbiorcy. Są to kwestie żywo obchodzące publiczność i artystów, co wskazuje, że powinny być w sposób otwarty przedstawiane i dyskutowane.

Dyrektor ukarał mnie naganą. Dziwi tak konsekwentne ignorowanie rzetelnych i rzeczowych argumentów biorących w obronę naszą częstochowską kulturę, nie kierowanych ad personam a spotykającymi się z zarzutami ad absurdum.

Wierzę w demokrację, o którą kiedyś według własnych sił zabiegałem. Za co posiadam honorowy dyplom od Prezydenta Wrony. To demokracja pozwala na oczyszczające dyskusje i burze mózgów (nie ich pranie), zdrowo polaryzujące opinie i stanowiska. Tym bardziej powinien to czynić krytyk sztuki odznaczony wyróżnieniem Zasłużonego Działacza Kultury.

Czyż to nie sam Prezydent Wrona, poprzez organizację dwóch już Kongresów Kultury Częstochowskiej, nie zachęcał nas do szerokiej, otwartej i uczciwej debaty publicznej nad stanem kultury i jej instytucji w naszym mieście?

Janusz Jadczyk, dyr. Muzeum Częstochowskiego

W sprawie tzw. muzeum Beksińskiego w Częstochowie, przy ocenie projektu widzę dwa ważne niezwykle aspekty tej inicjatywy. Po pierwsze - muzeum to szczególnie rodzaj instytucji kultury, gdzie eksponaty, czasem zwyczajne przedmioty ludzkiej działalności, także artystycznej, mają swój odmienny od innych, im podobnych, charakter. Muzeum gromadzi eksponaty na własność, z przeznaczeniem na tzw. „wieczną rzeczy pamiątkę”, dokumentującą twórczą, artystyczną i społeczną działalność kolejnych pokoleń ludzi, w szerokim aspekcie i tematyce. I taką instytucję, z bardzo dobrym działaniem sztuki, w Częstochowie już mamy. Jeśli zatem projekt zakłada odrębną organizację, bardziej uzasadnionym w tym konkretnym przypadku byłoby założenie galerii artystycznej, „pośmiertnej”, autorskiej, pokazującej szeroko i kompleksowo całą twórczość Beksińskiego. Zakładanie bowiem muzeum tylko dla samej nazwy - która zapewne w zamyśle pomysłodawców nadawałaby większą rangę i prestiż tej nowej organizacji - jest zupełnie, moim zdaniem, nietrafione w samym założeniu. Trzeba tu przecież myśleć także o kosztach organizowania i potem utrzymania. W przypadku muzeum są one znacznie większe, a przepisy rygorystyczne.

Po drugie - z posiadanych przeze mnie informacji szczegółowych dotyczących własności prac Beksińskiego, które miałyby stanowić podstawę realizacji tzw. muzeum, wynika, że są one własnością państwa Dmochowskich z Francji, i jak dotychczas nie zadeklarowali oni chęci definitywnego przekazania dzieł do Częstochowy. Biorąc natomiast pod uwagę szczególnie przykre okoliczności niedawnej śmierci artysty, jego prace zaczęły nabierać wartości na rynku sztuki, w różnych domach aukcyjnych, na licytacjach, w galeriach sprzedażnych. Sądzę zatem, że może za jakiś czas okazać się, że obecni właściciele wycofają się z dalszego użyczania prac Częstochowie. I co wtedy z galerią? Ważnym jednak i cennym na dziś jest to, że zechcieli oni wybrać Częstochowę jako depozytariusza dużego zestawu niezwykle interesujących prac Beksińskiego (choć artysta z naszym miastem związków bezpośrednich nie miał), i tym samym stworzyli za pośrednictwem Miejskiej Galerii Sztuki, ciekawą ofertę dla częstochowian i przybywających tu turystów. I ten fakt, z powodzeniem trzeba wykorzystać.

Jarosław Kweclich, artysta plastyk, dziekan Wydziału Wychowania Artystycznego A.JD

Jestem przeciwn. Uważam, że bardziej słuszne powstanie muzeum Dudy Gracza lub Mariana Michalika.



**Jacek Łydźba,
artysta plastyk, nauczyciel akademicki**

Moim zdaniem byłoby fajnie, gdyby któreś z polskich muzeów malarstwa miało w swoich zbiorach obrazy Beksińskiego na własność, żeby się wymieniać z in. galeriami. Ale uważam, że taka ekspozycja w MGS nie jest dobrym pomysłem, ponieważ obowiązkiem MGS jest prezentacja sztuki najnowszej. Miejska galeria ma żywo reagować na zmiany zachodzące w światowej sztuce, powinna prezentować społeczeństwu częstochowskiemu jak najszerze spektrum działalności artystycznej w Polsce i na całym świecie. Częstochowa jest miastem bardzo atrakcyjnym, znają ją ludzie na wszystkich kontynentach i należy to wykorzystać; wielu artystów chciałoby się tutaj wystawiać.

Janusz Mielczarek, artysta fotografik

Nie wiem, czy to powinno być Muzeum. To sprawa do dyskusji. Uważam natomiast, że pozbycie się z Częstochowy ekspozycji obrazów Beksińskiego byłoby szkodą dla oferty kulturalnej miasta. Na marginesie, warto przypomnieć tym, których kołą w oczy obrazy Z. B., eksponowane w „Kameleonie”, że przez kilka lat, blisko jedną trzecią powierzchni wystawienniczej obecnej MGS, zajmował... sklep meblowy.

Jacek Pałucha, artysta plastyk

Uważam to za absurd, ale że cenię sobie dobry absurd, to proponuję uchwalenie renty dla właścicieli kolekcji do czasu, aż nie zabiorą obrazów do innego muzeum w innym mieście, lub dożywotnio. Postuluję też, jeżeli 50 obrazów jest za małą ilością na ogrom potrzeb Muzeum Beksińskiego, można w czynnie społecznym domalować potrzebną ilość. Jestem do usług.

**Marian Panek, artysta plastyk, autor
tekstów o sztuce, nauczyciel akademicki**

Prywatna kolekcja pp. Dmochowskich nie powinna za municypalne, czyli społeczne, pieniądze być lansowana, ochraniać i nobilitowana jako Muzeum im. Zdzisława Beksińskiego. Jeżeli już zapadła decyzja i został podpisany kontrakt, to stało się to zbyt pochopnie i na niekorzystnych warunkach. Kolekcja powinna być prezentowana za pieniądze właścicieli, którzy czerpali i czerpią zyski z udostępniania twórczości tragicznie zmarłego malarza - i w jakiejś znaczącej części przekazana

MGS jako gwarancja, że inicjatywa jest poważna, ma społeczny, artystyczny i naukowy sens, a nie jest tylko prywatnym, komercyjnym i biznesowym przedsięwzięciem. Z drugiej strony, warto również zastanowić się, jakimi miejskimi środkami finansowymi można i trzeba stworzyć kolekcję najlepszych współczesnych częstochowskich artystów i propagować ją w kraju i za granicą. Na koniec proponuję, by jak to bywa na świecie, uczynić Pana Piotra Dmochowskiego kustoszem zbiorów Muzeum Beksińskiego i sownie go wynagradzać za udostępnienie swojej kolekcji, opiekę nad nią oraz jej reklamowanie w kraju i na naszym globie.

Szymon Parafiniak, artysta plastyk

Uważam, że idea powstania w Częstochowie muzeum czy galerii każdego z uznanych artystów polskich jest bardzo słuszna. Natomiast mam pewne wątpliwości, czy konkretnie powstanie Muzeum Beksińskiego przy MGS w Częstochowie jest słuszne. Zastanawiam się, czy celem istnienia MGS jest tego typu działalność? Czy wypożyczenie przez Państwa Dmochowskich prac artysty na 5 lat dla MGS to już wystarczający powód, aby miasto angażowało takie pieniądze publiczne na to przedsięwzięcie. A co będzie później? Co wydarzy się, gdy np. Państwo Dmochowscy zrezygnują lub sprzedadzą te prace np. jeszcze w tym roku? Nie jestem oponentem za wszelką cenę, po prostu myślę... A może Muzeum Częstochowskie to lepsze miejsce dla Beksińskiego? Myśląc o morzu potrzeb, w jakim obecnie pływa lub raczej tonie częstochowskie środowisko plastyczne, uważam, że te pieniądze można wykorzystać bardziej racjonalnie, z uwzględnieniem poczucia patriotyzmu lokalnego.

**Jolanta Winiszewska, artysta plastyk,
nauczyciel akademicki**

Założenie Muzeum im. Zdzisława Beksińskiego w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie z jednej strony wydaje się uzasadnione - z powodu przybliżenia twórczości znanego artysty szerszym kręgom odbiorców. Istotną sprawą jest również bezpośredni kontakt z obrazami i rysunkami studentów Instytutu Plastyki Akademii im. J. Długosza i uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych.

Z drugiej jednak strony, nasze Częstochowskie Muzeum, które jest w trakcie remontu oraz budynek w Parku im. Staszica, wymagają w chwili obecnej pierwszoplanowego zainteresowania i poszerzenia zbiorów.



STARA DRUKARNIA

Przy ulicy Waszyngtona w Częstochowie od lat niszczeje cenny zabytek architektury przemysłowej. (Konserwatorowi dotąd nie przyszło do głowy, aby ten obiekt wpisać na listę zabytków). Dawna drukarnia Oderfelda i Kohna, odkąd przestała służyć jako fabryka namiotów, zaczęła stopniowo popadać w ruinę. Jest to tym bardziej kompromitujące dla wszystkich kolejnych ekip samorządowych, że żadna z nich nie zdołała zrobić czegokolwiek dla ratowania budynku stojącego tuż obok Urzędu Miasta, naprzeciw uczelni i w sąsiedztwie Banku Gospodarki Żywnościowej. Bank ten jakiś czas nawet miał obiekt w posiadaniu, ale dyrektor palcem nie kiwnął, by zabytek ochronić. Publicznie głosił nawet, że przecież można będzie odtworzyć elewację. Jak wyglądają takie atrapy - mamy przykład w I Alei („Seka”).

W ciągu tych lat pojawiały się różne pomysły wykorzystania ładnego i położonego w doskonałym miejscu budynku. A to - żeby zrobić w nim siedzibę Muzeum Częstochowskiego, ze wszystkimi działami i magazynami. A to - centrum sztuki współczesnej, „fabrykę sztuki” (były nawet konkretne propozycje ze strony Związku Polskich Artystów Plastyków). Pisałem o tym nieraz. A kiedy niedawno powstawała „Zachęta” z planowaną kolekcją sztuki - zgodnie z ministerialnym programem „Znaki czasu” - zaproponowałem, by jej siedzibę ulokować właśnie w dawnej drukarni. Ostatnio zaś w „Życiu Częstochowskim” sugerowano, by utworzyć tu Muzeum Częstochowskich Żydów. Podano też w tej gazecie,

że współwłaścicielem budynku jest teraz wybitny profesor medycyny ze Stanów Zjednoczonych.

Były problemy z własnością, ze spadkobiercami - ostatecznie jednak BGŻ rzecz sprzedał. Nowy właściciel - miejscowy biznesmen - ponoć bardzo się zachwycił starą drukarnią i zlecił opracowanie sposobu ratowania budynku, ale widać zapał mu przeszedł albo wystraszyły go koszty, dość, że od jesieni nic się tu nie ruszyło. A złomiarze zdążyli już wykraść z wnętrza, co się dało, z poręczami schodów włącznie, a z dachu - rynny, na skutek czego dewastacja ścian postępuje w przyspieszonym tempie.

Miałem możliwość dokonania oględzin - wraz z panią z powiatowego inspektoratu budowlanego. Dołączył do nas artysta plastyk, prof. Andrzej Desperak. Profesor zachwycił się przestrzeniami hal idealnymi na ekspozycję sztuki. „Tak się robi w Częstochowie! Zniszczą piękny budynek, a przyszłym pokoleniom zostawiają takie grzmoty!” - grzmiał Desperak, wskazując na sąsiednie budowle nowszej generacji. Podzielałem w pełni jego oburzenie. Podobnie zresztą wypowiedziała się przedstawicielka władzy budowlanej. Obejrzelśmy jeszcze, zachowaną w doskonałym stanie, południową ścianę szczytową z cegły - i nasze spostrzeżenia uwieczniliśmy w protokole.

Może sposobem na drukarnię Kohna i Oderfelda byłoby pójście za przykładem Lublina. Fundacja, która gospodarowała zabytkowym budynkiem teatru na Starym Mieście, nie mogła sobie dać rady z jego utrzymaniem; gmach niszczał, władze miasta nie wykazywały zainteresowania. Aż skierowano sprawę do prokuratora. Wówczas prezydent zaraz wystąpił do marszałka sejmiku, pieniądze się znalazły - i teatr prawdopodobnie będzie uratowany.



Może sobie Paryż mieć Muzeum d'Orsey w hali byłego dworca, może Londyn urządzać Modern Tate Gallery w przemysłowym obiekcie. Zaś w nowojorskim Soho stare budynki przemysłowe mogą użytkować artyści. Częstochowa nie jest tym zainteresowana. Czeką, aż zabytek sam się rozleci. Dziwne, że miasto nie wyzyskuje w tej dziedzinie z możliwości, jakie stwarza członkostwo w Unii Europejskiej. Ratowanie zabytków przemysłowych jest teraz bardzo modne. Można korzystać ze Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego (3.2 „Obszary podlegające restrukturyzacji”, 3.3 „Zdegradowane obszary miejskie, poprzemysłowe i powoj-skowe”, 3.3.1 „Rewitalizacja obszarów miejskich”). Ten program jest jeszcze mało znany, a daje duże możliwości. Przy tym beneficjent musi dysponować 15 proc. wkładu własnego.

„Warto pójść za przykładem rozkochanych w starych fabrykach Niemców, którzy dzięki funduszom strukturalnym zamienili na centra kulturalno - rozrywkowe prawie całe Zagłębie Ruhry, czy też Anglików, którzy nadali nowe oblicze londyńskiej dzielnicy Doków, lub Finlandczyków restaurujących stare fabryki włókien w Tampere” (Poradnik Rzeczpospolitej, 10 marca 2005). Nie potrzeba zresztą szukać wzorów aż tak daleko. 17 marca w programie 3 TVP nadano program o wykorzystywaniu dziewiętnastowiecznych budynków przemysłowych w Bielsku-Białej. Pokazano przykłady - bardzo udane. Mówił na ten temat tamtejszy Miejski Konserwator Zabytków. Poszukuje się - skutecznie - inwestorów mających wyczucie, zainteresowanych konserwacją i użytkowaniem obiektów po fabrykach włókienniczych i maszynowych. Dba się o zachowanie stylu, charakteru, klimatu starych budynków, usytuowanych - podobnie jak nasza drukarnia - w centrum

miasta, bardzo dogodnie. Z przyjemnością można patrzeć na zadbane obiekty, które dodają miejscu wartości architektonicznych i niepowtarzalnego uroku. (Sama siedziba Urzędu Miasta jest jednym z takich przykładów). A przecież wszystko to by przepadło, gdyby nie właściwe postępowanie władz miejskich.

ULICA SIKORSKIEGO

Uliczka w Częstochowie, jak w małym miasteczku.

Właśnie tędy biegałem do szkoły. Atmosferę tamtych lat interesująco przekazał w świeżo wydanej w Lublinie wspomnieniowej książce dr Henryk Czarniawski, który uczył w mojej Szkole Podstawowej nr 1 i VIII Liceum Ogólnokształcącym im. gen. Świerczewskiego przy ulicy gen. Sikorskiego.

Miasteczkowe domki w większości ocalały. I tak jest pięknie. Szkoda tylko okazałej stodoły z białego kamienia wapiennego, tuż przy szkole.

Kiedyś, dawno już temu, władze miasta wydały nakaz, by usunąć wszystkie drewniane płoty. Taki przejaw kompleksów i niezdrowych ambicji. Jakby wielkomiejskość od tego zależeć miała. A potem pojechałem do Londynu. I zobaczyłem najzwyklejsze ogrodzenia z drewnianych sztachet, czasem bardzo sfatygowane. Nie w samym centrum, oczywiście.

A więc - niech żyje Częstochowa miasteczkowa!

Władysław Ratusiński





PLENERY

Pierwszy Ogólnopolski Plener Malarski „Jurajska Jesień” zorganizowany został w 1975 przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Częstochowy i Oddział Częstochowski Związku Polskich Artystów Plastyków. Ze strony Związku organizacyjną aktywność wykazała Adela Wiśniewska i Stefan Chabrowski, który mu wtedy szefował. Już od drugiego Pleneru organizatorem stał się Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, a w nim nieprzerwanie do swojej emerytury opiekował się imprezą Józef Drosik. Razem ze Związkiem Urząd Wojewódzki organizuje Plenery w latach 1976-1982 i 1990-1998. Od roku 1977 stale współorganizatorem jest Wojewódzkie Biuro Wystaw Artystycznych w Częstochowie.

Od pierwszej wystawy poplenerowej miejscem ich ekspozycji niezmiennie są sale Cepeli, których właścicielem od 1982 roku jest BWA. Samo BWA przechodzi w 1995 roku przeobrażenie w Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie.

Po zawieszeniu w roku 1981 ZPAP i ostatecznym rozwiązaniu go w 1983, współorganizatorem społecznym wydarzenia stało się, jak to zostało określone w katalogu Pleneru z 1983, Środowisko Plastyczne Częstochowy. Funkcję tę od 1984 przejęła Wojewódzka Rada Plastyki, którą pełniła do 1989, a więc do reaktywacji Związku.

Częstochowski Oddział ZPAP od 1991 jest Okręgiem.

W roku 1999, zatem pierwszym, w którym Częstochowa nie jest miastem wojewódzkim, ustala się nowy skład organizatorów publicznych. Oprócz ZPAP i Miejskiej Galerii są nimi: Starostwo Powiatowe w Częstochowie i Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego.

W punkcie wyjścia określone zostały założenia i cele przedsięwzięcia. W Katalogu z 1977 roku czytamy, że prace powstające na plenerze powinny być realistyczne, a Plener służy „kontaktowi i sojuszowi świata pracy z kulturą i sztuką”, co ma się odbywać poprzez spotkania i dyskusje z okoliczną ludnością. Warunkiem uczestnictwa jest od początku przekazanie Urzędowi w formie daru pracy malarskiej, graficznej lub projektu rzeźby. Natomiast do zobowiązań organizatorów należało – co w tamtych latach warunkowało możliwość odbycia pleneru – zaopatrzenie w materiały malarskie. Choć dzisiaj jest to nierealny thriller, to zachowały się dokumenty mówiące o staraniu się o potrzebne materiały dla malarzy w centrach warszawskich.

Znamienne, że regulamin 30. Pleneru dotyczy niemal wyłącznie spraw porządkowych.

Z reguły natrafiamy w katalogach wystaw poplenerowych sentymentalne wypowiedzi. Od tego uspokajającego standardu odbiegają czasem sformułowania zawarte w Rozmowie Ryszarda Baranowskiego z komisarzem XXVI Pleneru Leszkiem Wieluńskim zatytułowanej „Zaczarowana kraina artystów” (katalog). Leszek Wieluński odnotowuje „wieloletnie narzekania na zmienność formuły pleneru lub zamknięcie kręgu bywalców” choć przeczy im stwierdzeniem, że „dziś jest bardzo trudno o jednoznaczne wydarzenia artystyczne. Jakość dokonań widać jednak dokładnie na ekspozycjach retrospektywnych, jak choćby ta sprzed dwu lat w Miejskiej Galerii Sztuki. Widziałem tam wiele świetnych obrazów.” I dodaje „by tę pożądaną jakość utrzymać i podnosić, komisarzami muszą być ludzie z wyraźną osobowością twórczą i wizją przedstawianą np. na konkursie. Bardzo ważna jest też swoboda w doborze uczestników, gdyż w sztuce nie chodzi o to, by było grzecznie, poprawnie. Organizatorzy – w trosce o znaczące dokonania – nie powinni bać się powierzania takiej funkcji ludziom niepokornym a jednocześnie pełnym twórczej energii.”

W rozmowie pada też istotne spostrzeżenie Ryszarda Baranowskiego o miażdżącej dla współczesnego twórcy pejzażu konkurencji fotografii barwnej. Na co, przekreślając podobne obawy, Leszek Wieluński wypowiada prawdopodobną potrzebę prowadzenia pleneru z większą ilością dyskusji o sztuce oraz spotkań rozwijających intelektualne aspekty uprawiania twórczości w epoce wizualnej.

I jeszcze cytat z katalogu „Spotkanie II” BWA w Lesznie (2001), który towarzyszył wystawie ze zbiorów tej galerii w większości utworzonych z darów po 19 plenerach zorganizowanych w latach 1976-1997. W rozmowie z Joanną Janiak Piotr C. Kowalski zauważa różnicę jakościową między plenerami dawnymi, na których miała miejsce autentyczna rywalizacja twórcza (chyba jej dzisiaj brak). Określa plenery peerelowskie mianem „socjalnych” i mówi o pewnym schematyzmie formalnym uczestników, trzymających się z zasady najbardziej prostych metod realistycznych oraz o potrzebie nietradycyjnych poszukiwań: „a w Grabanowie był plener „Zabytki i pejzaż Podlasia” – wszyscy malowali domy, stare wiejskie chaty, lub charakterystyczne pejzaże, a ja namalowałem frotaż z sześciu starych drzew i okazało się, że to jest nie na temat – bo ani to nie jest pejzaż, ani zabytek. Dla mnie trzystuletnie dęby już są zabytkiem i są pejzażem. Wszyscy inni tak się przejęli, że malowali pod kątem organizatorów, żeby chociaż jeden obraz był „na temat” i mógł być przyjęty jako dar.” Padają w tej

rozmowie bardzo sarkastyczne uwagi, odnoszące się do rutyny uczestników, a nawet zaprzeczaniu przez nich idei pleneru. Wyjątkowo niewłaściwe sytuacje zdarzają się, kiedy artysta daje na wystawę poplenerową obraz z lat wcześniejszych.

Najzwyczajniejsza dbałość o zdrowie imprezy to otwartość jej formuły, która powinna uwzględnić kadencyjność komisarzy i uczestników. Komisarz także musi mieć scenariusz - pomysł na plener. Trzeba też zastosować odpowiedni parytet nowych absolwentów kończących uczelnie, także częstochowską.

W końcu to nie tylko ZPAP ma monopol na malowanie i organizację plenerów?!!!

Przez „Jurajską Jesień” przewinęło się wielu wybitnych artystów.

Piotr Głowacki



Zwykłość malarstwa

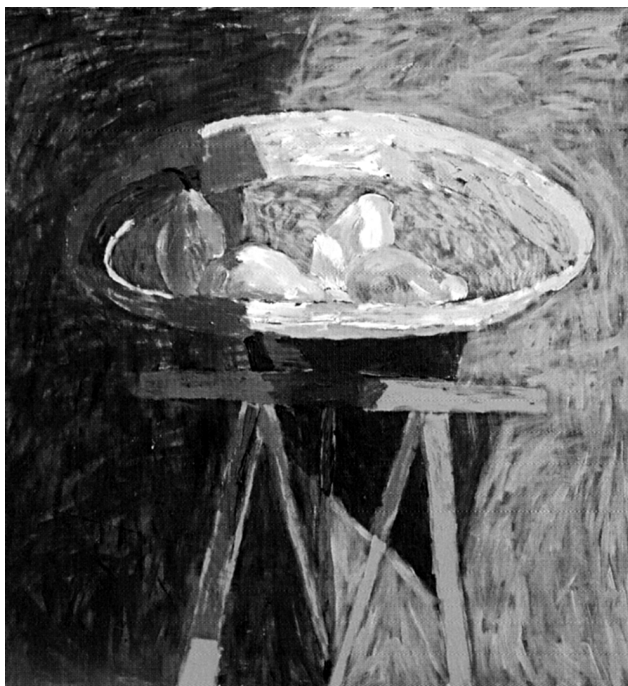
Beata Bebel-Karankiewicz określa kontemplowanie wcześniejszego okresu swojego malarstwa i nawiązywanie do niego w niektórych z najnowszych obrazów jako powrót do źródeł. Malarstwo autorki zostało ukształtowane w pracowni bezgranicznie umiłowanego profesora, Jana Szancenbacha. Jest on nie tylko wielkim nauczycielem malarskiego smaku i barwnych finezji, ale także ujmująco skromnym i bezpośrednim mistrzem.



Czerwony wazon - 2005, akryl na płótnie, 100 x 70 cm

Dlatego Beata Bebel-Karankiewicz zrażona jest do współczesnej mody – której ulegli także artyści - na jarmarczną krzykliwość autoreklamy i przekraczające wszelkie granice ekshibicjonizmu medialne reality-show. Być może ma to jakiś związek z odejściem od typowego dla niej wcześniej malowania autoportretów. Namalowała ich ona dotychczas 130. Stąd w rozmowie nie daje jej spokoju traktowanie malarstwa i procesu twórczego jako li tylko towaru, bo przecież to są obszary wymagające prywatności i intymności. W kontakcie z obrazem liczy się jego możliwość zaferowania przygody estetycznego przeżycia i mentalnej projekcji. W nieco zdesperowanym odruchu sprzeciwu wobec gonitwy za sensacją, jaka dotknęła tak kameralną dziedzinę kultury, artystka posuwa się nawet do określenia swoich obrazów jako zwykłych, zwyczajnych...

W tak postrzeganej współczesnej przestrzeni kulturowej zrozumiiała jawnie się decyzja malarki zwrócenia się do najbardziej bezpretensjonalnego motywu malarskiego, jakim jest martwa natura. Na najnowszej wystawie znajdzie się jednak jeden autoportret. Silnie przetworzony, graficznie sprowadzony niemalże



To były zielone gruszki - 2005, akryl na płótnie, 80 x 70 cm

do jedynie najbardziej zasadniczo rozpoznawalnego obrysu postaci, za to z dominującą grą warstwy kolorystycznej i wyszukaniem komplikowaniem faktur i form. Będących nośnikami nastroju i poetycko delikatnych lecz bardzo rozbudowanych spektralnie efektów chromatycznych. Nowe obrazy posiadają więcej aktywizujących pole wizualne elementów, zarówno barwnych, jak powierzchni strefowych. Zawsze też wytrącają się one wzdłuż osi powstającej pomiędzy światłem i mrokiem. Z jednej strony da się zaobserwować tendencję do upraszczania, z drugiej do - w coraz większym stopniu - wyrafinowanej komplikacji. Jako, że zasady te wynikają z postmodernistycznej aury kulturowej, znajdujemy „nieoczekiwane uskoki, i formy zakłócające linearność konstrukcji”.

Powracanie do koloryzmu mistrzów tego kierunku Beata Bebel-Karankiewicz odczuwa jako działanie przynoszące ulgę w silnej tęsknocie za klasycyzmem tej formacji twórczej, traktowanej jako najwyższa jakość artystyczna i kulturalna. Poszukuje ona Prostoty i Znaczenia, w czym podobna jest do postawy artystów wielkiej awangardy z początku XX wieku. Przemierzając także dawniejsze szlaki działań piktoralnych polskich artystów autorka patrzy w stronę przymglonej, niezwykle drobiazgowo i wielowarstwowo opracowanej materii Jana Cybisa. Jego malarska praktyka, jak i przekonanie, że ma ona cechy wyzwalające,* przyczyniło się do powstania *Czterech pór roku*. Są to najbardziej esencjonalne

obrazy jakie widziałem, oddające klimatem i materiałem charakter natury w poszczególnych porach roku. Można przypuszczać, iż decydowało o tej próbie także konsekwentne nastawienie malarki do płótna jako reprezentacji zmysłowości świata, mniej natomiast do prezentacji fabularnej czy ikonograficznej.

To pierwsza indywidualna wystawa tej artystki w rodzinnym mieście. Przekonany jestem o jej pilnej potrzebie, gdyż nie często możemy być odbiorcami obrazów o takiej kondensacji skupienia, niespiesznego w pogłębianiu niuansów jasnych i ciemnych odcieni koloru, przepojonego treściami materii malarskiej.

Symboliczne powroty do źródła są bowiem przywołaniem kulturowego archetypu domu, bezpiecznego azylu i mądrego spadku po poprzednikach. Regenerując i kojąc zmysły i ducha nabieramy sił do dalszych wypraw w mniej znane.

Piotr Głowacki

* Silvia Ferrari, *Sztuka XX wieku*, s. 162, Arkady, 2002

** za Wojciech Suchocki w „Sztuka w okresie PRL-u”, Uniwersytet Jagielloński, Kraków, 1999



Żółty pokój z różowym krzesłem - 2004/5, akryl na płótnie, 130 x 100 cm



Fot. Piotr Dłubak

Ojcowie i córki

„Ojcowie i córki” to projekt artystyczny **Piotra Dłubaka i Szymona Parafiniaka**. Był on realizowany przy dużych nakładach finansowych, konsekwentnie przez kilka miesięcy 2004 i 2005 roku, a został sfinalizowany wernisażem wystawy 16 par fotogramów i obrazów prezentujących znanych częstochowskich obywateli wraz z ich córkami, z Prezydentem Miasta włącznie.

Powstała wystawa ciekawie przestrzennie zaaranżowana w głównym foyer Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Otwarcie zgromadziło wielu przyjaciół i wielbicieli talentu obu autorów. Na dużej scenie teatru odbył się również ciekawy muzycznie koncert towarzyszący wernisażowi grali m. in. Loco, Gralak, Skolik, Yanina. Świetnie opracowane graficznie i doskonale wydane: plakat, zaproszenie i katalog stały się dużej klasy kolekcjonerskimi pamiątkami z tego artystycznego wydarzenia. Wydarzenia, które przypomniawszy wszystkim, że warto myśleć i tworzyć oryginalnie, bezpretensjonalnie z wyczuciem podjętego tematu. Obu autorów, każdy inaczej pokazało związki krwi pomiędzy ojcami a córkami.



Fot. Sławomir Stępnik

Piotr Dłubak powiązał gestami ciała osoby prezentowane w swych fotografiach. Szymon Parafiniak natomiast starał się pokazać swoich modeli w portretach jako byty osobne, indywidualne przez swoistą kolorystykę i charakter plamy malarskiej. Trzeba powiedzieć, że ta inicjatywa częstochowskich twórców oprócz artystycznych i sentymentalnych walorów, miała też aspekt integrujący, wielopokoleniowy oraz środowiskowy. Brawo, Piotrze i Szymonie. Można więc oczekiwać, że pewnie kiedyś podejmiecie jeszcze niejedno takie piękne i mądre malarsko – fotograficzne wyzwanie.

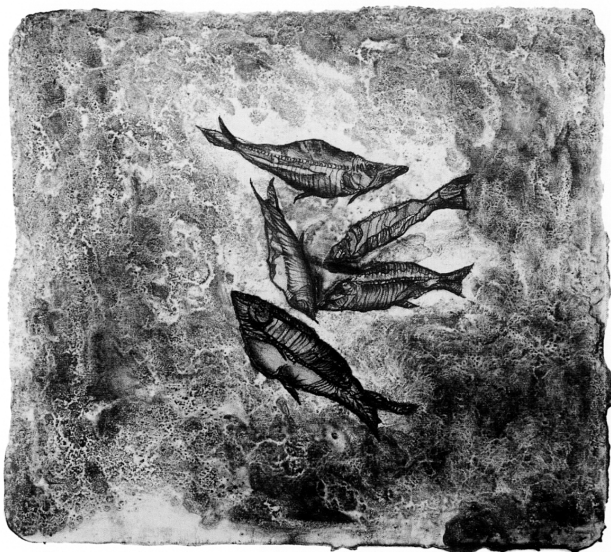
Marian Panek



Fot. Anna Pietrzyk

Grafika Krystyny Sz wajkowskiej w „Babim Lecie”

W lutym 2005 roku została otwarta wystawa interesującej i dobrej grafiki **Krystyny Sz wajkowskiej** - częstochowskiej artystki, absolwentki Instytutu Plastyki WSP w Częstochowie, a obecnie prodziekana Wydziału Artystycznego Akademii im. Jana Długosza. Litografie autorki, starannie opracowane w firmie Marka Lorenza, zawisły na ścianach niedawno otwartej klubo-kawiarni „Babie Lato”, założonej przez trzydzieści sześć pań. Te dzielne kobiety są ciągle zafascynowane możliwością zrobienia czegoś nie tylko dla siebie, ale także dla innych przedstawicieli płci pięknej. Na drzwiach ich lokalu wisi napis „Klub dla kobiet”. Mężczyźni mogą wejść tylko wtedy, gdy podejmą próbę założenia jaskrawo – kolorowej peruki, która to ponoć skutecznie zniechęca osoby odmiennej płci, chcące przekroczyć próg kawiarni. Jest to taka „niewinna” sz ykana, jakby w podobnej



Historia naturalna VI, 2000, litografia, 37,5 x 42 cm

sytuacji poprosić kobiety o założenie włosienicy na ciało – ale czy na pewno? Trzeba jednak do tego „zabawnego” pomysłu podejść z poczuciem humoru. Na wernisażu było wielu panów i nie wszyscy dostąpili zaszczytu założenia różnokolorowych peruk. Tytułem kronikatorskiej pamięci trzeba dodać, że program wystawienniczy w „Babim Lecie” inaugurowała swoim interesującym malarstwem Małgorzata Stępnia k. Wróćmy jednak do litografii Krystyny Sz wajkowskiej, które są poświęcone ciału mężczyzny, choć nie tylko jej prace taki temat podejmują. Są także odbitki związane z egzystencją kamieni, amonitów. Większość jej realizacji graficznych świadczy o technicznej precyzji i artystycznym wyrafinowaniu w umiejętności opracowania odbitki litograficznej. Można powiedzieć, że są to prace z charakterem. Atrakcyjne w dekoracyjnych aspektach, z wieloma psychologicznymi podtekstami dotyczącymi ciała jako naczynia duszy. Materii ciała narażonego na różnego rodzaju opresje. Trzeba powiedzieć, że rozwój talentu Krystyny Sz wajkowskiej jest na najlepszej twórczej drodze.

Marian Panek



Larus lithographica, 1998, litografia, 46,5 x 70 cm



Wymiary podróży

W 1998 pisałem w katalogu **Katarzyny Winczek**, iż jej twórczość opiewa bezwzględność czasu. Rozmawiając teraz z autorką uświadamiamy sobie, jakie przemiany zaszły w sztuce od tamtej chwili. Do refleksji tej należy także konstatacja o zwracaniu się artystów do analizy komunikacyjnych warstw sztuki. Zgodnie zauważamy, że w Częstochowie nie możemy oglądać przejawów realizacji najnowszych strategii artystycznych, w tym ostatnio lansowanej - wysoce emocjonującej i szokującej - sztuki krytycznej czy z obszaru malarstwa - grupy Ładnie. W pewnym momencie kontekst wypowiedzianych zdań spowodował pojawienie się pytania autorki o odpowiedniość (nowoczesność) własnej propozycji artystycznej...

Rozmowa zesła na wyjaśnienia artystki dotyczące wykorzystywania poprzez graficzne przetwarzanie starych map. Gdy analizowała ich układ ikoniczny okazywało się, że może się czuć twórcą współczesnym i nowoczesnym, gdyż inspirując ją w wykresach topograficznych rozmieszczenie pól przedstawię n, okazuje się być odwzorowane wprost w układzie ikon

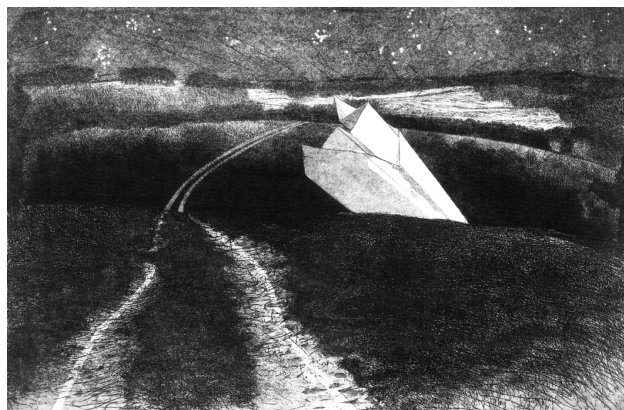
komputera. Jest to frapujące i zaskakujące spostrzeżenie, na ile linia innowacji geniuszu ludzkiego asymiluje wszystkie wcześniejsze odkrycia. Wykorzystywanie w wysokich technologiach całego dorobku człowieka, czyni go tym samym stale aktualnym i nowym.

O ile we wcześniejszych pracach Katarzyna Winczek większą uwagę przykładła do pojedynczych przedmiotów, teraz koncentruje się bardziej na szerokim, niemalże panoramicznym, planie, unosząc horyzont w górę. Jest to wynik podróży; realnych i imaginacyjnych. Podobnie jak zainteresowanie mapami.

Skoro już pojawiła się potrzeba udowodnienia sobie przez autorkę przystawania charakteru jej sztuki do klimatu współczesności, znajdujemy tego warunek sine qua non. Jest nim dążenie do mistrzostwa formalnego.

Inną wątpliwością twórczą, która się wyłoniła w trakcie tej wymiany zdań, była niepewność co do może zbyt oczywistej warstwy tematycznej w porównaniu z niezwykłymi wręcz możliwościami wizualnymi mediów, nowych dyscyplin sztuki takich jak wideo, instalacje i obiekty. Jak się zdaje argumentowałem, co neutralizowało zarzut, w sztuce nie ma tematów banalnych. Skoro zatem spełniony jest w przypadku tej autorki warunek warsztatowej jakości, dającej efekt przekonującej sugestii i ciekawych plastycznie rozwiązań, to temat zyskuje na wartości. Artystka uniknęła zatem zagrożeń w rodzaju naiwnego rejestrowania lub estetyzującego stylizowania.

A tematem grafik Katarzyny Winczek jest obszar nieuchwytej granicy między przeszłością a przyszłością, trwaniem i niebytem, nocą i światłem. Historyczny wykres dawnych ziem i miast, uzupełniają symboliczne



Ikar, 2000, technika mieszana, 32,5 x 50 cm

pełne poetyckiej metaforyczności papierowe łódki i samoloty, a także najbardziej bogate znaczeniowo koperty.

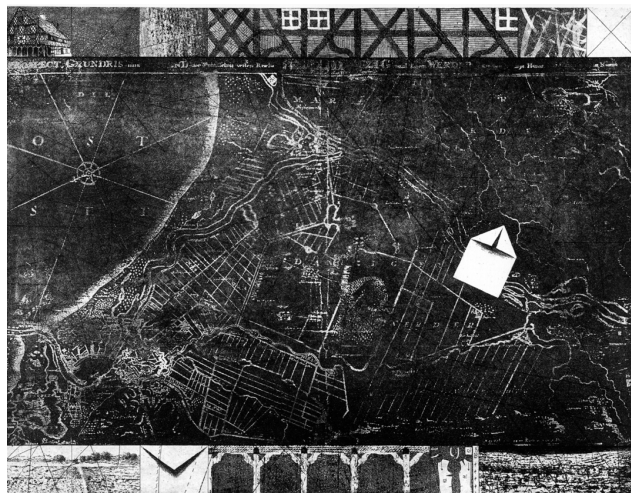
Oddawany w przedstawieniach obszar graniczny usiany jest (jak w przypadku prawdziwej granicy) naturalnymi przeszkodami. W warstwie podłoża poddany został operacji zacierania granic materiału twórczego. Artystka bowiem retuszuje odpowiednio stare fotografie rodzinne, czy prawdziwe mapy. Stąd odnosimy wrażenie malarskiego waloru prac.

Zabieg ten to kolejny czynnik niejako samousprawiedliwienia przez autorkę potrzeby współczesnej natury swojej twórczości. Chodzi o grę bardziej nowego medium z tradycyjnymi środkami ekspresji. Przez co już nie tak jednoznaczne grafiki nabierają nowych cech atrakcyjności wyrazowej. A ich forma staje się jedną z adekwatnych wersji nowoczesnych strategii artystycznego języka wizualnego.

W grafikach Katarzyny Winczek nie znajdziemy możliwości prostych identyfikacji. Być może snuje się w nich nic swoistego rodzaju kultu przodków i ich form trwania. Odeszły z nich motywy czerpane z dawnych mistrzów sztuki. Postawa artystki ma w sobie coś z działań maga wędrującego w czasie i przestrzeni, który demonstruje nam ich wielowymiarową strukturę. Potencjał beczasowego statusu sztuki pozwala uruchomić sugestywne iluzje i podtrzymać – mającące w pamięci - sentymalne chwile.

Czujemy w atmosferze coś zapraszającego nas do odkrywania miejsc kolejnych utopii onirycznych obszarów.

Piotr Głowacki



Podróż IV, 2004, technika mieszana, 50 x 65 cm



Fot. Maciej Kusztal

Fotoklub Jurajski

Mijają cztery lata od powstania w Częstochowie Jurajskiego Oddziału Fotoklubu Rzeczypospolitej – Stowarzyszenia Twórców. Zrodził się z potrzeby skupienia fotografujących, wzajemnej wymiany poglądów i oceny swojej pracy. W tym czasie przez Regionalny Ośrodek Kultury przy ul. Ogińskiego, gdzie Oddział znalazł gościnę, przewinęły się setki pasjonatów fotografii, którzy na comiesięcznych spotkaniach mieli okazję prezentować swoje prace, oceniać to, co zrobili inni, dowiadywać się o imprezach fotograficznych w Polsce



Fot. Dariusz Gawroński

i za granicą, uczestniczyć w wystawach i dyskusjach. Dzięki funduszom z Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego i od pana Lecha Jędryki, można było wydać - na dobrym poziomie poligraficznym - katalogi z pracami uczestników spotkań oraz trzykrotnie już nagrodzić czołówkę walczących o tytuł „Fotograf Roku”.

Ostatnia wystawa – „Wyróżnienia 2005” (styczeń-luty br.) była dziełem piątki pasjonatów obiektywu,



Fot. Dariusz Gawroński

mających za sobą osiągnięcia o różnym ciężarze gatunkowym, którzy od początku aż do wernisażowego finału sami poprowadzili to przedsięwzięcie; miejscem ekspozycji były gościnne sale klubo-kawiarni „Rue de Foche”.

W oryginalnym katalogu wystawy, będącym jednocześnie kalendarzem, wymyślonym przez naszego kolegę Janusza Stępnia, tak wystawiający mówią o swoim fotografowaniu:



Fot. Dariusz Gawroński

„Pozbawiona aparatu fotograficznego - staję się najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi... (Agnieszka Parkitna). „Fotografię dzielę z innymi pasjami, takimi jak wspinaczka skałkowa i wysokogórska, bieganie czy żeglarstwo” (Dariusz Gawroński). „Rzeczy banalne dla innych – dla mnie mają silną wymowę i charakter” (Mariusz Knieja). „Należę do miłośników tak zwanej fotografii czystej, której reprezentantem jest Ansel Adams” (Maciej J. Kusztal). „Jako fotograf wciąż jeszcze poszukujący własnego środka wyrazu, podpatruję każdego, kto pracuje z zaangażowaniem i konsekwencją rodzającą fotografię, których mogę jedynie pozazdrościć” (Paweł Wróblewski).



Fot. Maciej Kusztal

Tak więc , bogata mozaika postaw, charakterów i osobowości. I taka też była ta wystawa: różnorodna i ciekawa.

(jam)



Fot. Mariusz Knieja



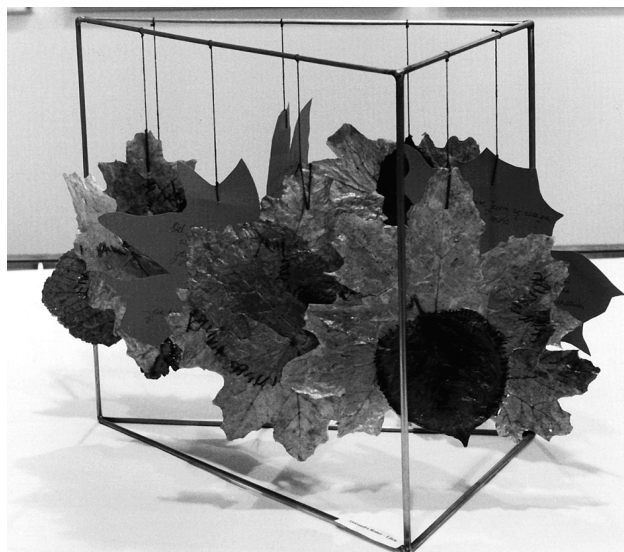
Andrzej Bednarczyk: Świątynia kamienia

Magia książki

„Wszystko, co jest we mnie dobre, zawdzięczam książce” – ta myśl od blisko czterdziestu lat, a więc od początku mojej fascynacji literaturą, towarzyszy mi w życiu. Fascynacja była tym bardziej zaskakująca i głęboka, że zrodziła się niemal z obojętności. Muszę się w tym miejscu głęboko pokłonić koledze z liceum, Jackowi P., z którym rozmowy o książkach skutecznie wpędzały mnie w tę piękną chorobę.

Moich ukochanych autorów zawsze postrzegałem jako osoby mi bliskie, a w ważnych chwilach życia wracałem do azylu ich książek, jakby pisali je z myślą o mnie i o moich sprawach.

Te właśnie refleksje przysły do mnie w czasie oglądania szczególnej wystawy, poprzez eksponaty której, ich twórcy – młodzi ludzie, próbują odpowiedzieć na pytanie: czym jest „materia książki?”. Wystawa, zrodzona z pomysłu adiunkta Jacka Łydzby z Instytutu Wychowania Plastycznego



Aleksandra Remer: Liście



Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, zorganizowana przez Bibliotekę Główną tej uczelni, wsparta przez dr Elżbietę Wróbel z Instytutu Filologii Polskiej – autorkę niezwykle wnikliwego tekstu w katalogu, gromadzi głównie prace studentów, którzy wspólnie ze swoimi nauczycielami akademickimi, w sposób zróżnicowany i bogaty, interpretują ten jakże magiczny temat. Właściwie można by sprawę uprościć: autor, papier, druk. To wystarczy, aby powstała książka, ale wówczas nie byłoby tego, co w książce tak cenne i oczywiste dla jej miłośników – duch książki. I właśnie ku tej pięknej i wielowymiarowej tajemnicy zwracają się twórcy wystawy.

Czy ją znajdują? Czy wystawa przybliża definicję materia książki? Sądzę, że ona czyni coś więcej: przypomina nam o jej istnieniu, by dzięki intelektowi i wyobraźni młodych i starszych twórców stworzyć przed nami jakże bogaty świat tajemnicy oraz różnorodności tego określenia.



Izabela Gęsiarz: *Manekin*

W dobie wszechobecnych i często nachalnych elektronicznych technik powszechnego komunikowania się, kiedy wielu zapomina, że jest książka, a jeszcze inni nie zdążyli się dowiedzieć o jej istnieniu, ona upomina się o swój byt i miejsce pracami z tej wystawy.

Ta ekspozycja stworzona przemyśleniami przede wszystkim ludzi bardzo młodych i nawiązująca do ich problemów i zainteresowań, powinna być także odczytana przez ich rówieśników, zarówno tych, którzy „wpadają w stronice jak ćmy.” – jak pisał Stanisław Grochowiak, jak i większości, urzeczonych połyskującym chłodem ekranu i wszechmocnymi kliknięciami plastikowych klawiszy. Bo pasje są zaraźliwe, a wiele eksponatów tej wystawy jest nimi natchnionych.

Dopelnieniem wystawy jest barwny katalog, którego tekst wprowadza w historię zapisu ludzkiej myśli, spełnionej w XV wieku w książce drukowanej.

Wystawa jest na tyle atrakcyjna i poszerzająca horyzont pojęcia materia książki, że warto by ją – choć w części – pokazać w czasie tegorocznych majowych Częstochowskich Dni książki. Bowiem książka, to rzecz magiczna, co na różne sposoby odczytują twórcy wystawy. Warto się z tym zapoznać, gdyż mają nam sporo do powiedzenia.

Tekst i zdjęcia: Janusz Mielczarek

In memoriam...

„*Tak, myślę, że możemy się umówić na 2005 rok, kiedy zakończę prace nad ilustracją dzieł Fryderyka Chopina*” – tymi słowami Jerzy Duda Gracz skwitował, na niepowtarzalnym październikowym wernisażu swoich prac w Galerii Lonty Petry, moją prośbę o zorganizowanie kolejnej w Częstochowie wystawy. Pełna nadziei, że uda mi się zrealizować pełen szaleństwa plan, na który miałam jedynie pomysł i wiarę, która swego czasu pomogła mi zrealizować dwa inne przedsięwzięcia. Najpierw przenieść z Muzeum Okręgowego w Warce wystawę „Świat Jerzego Kosińskiego” i sprowadzić na jej otwarcie Żonę Pisarza i przyjaciela, Daniela Passenta, oraz przenieść z Muzeum Historii Miasta Łodzi niepowtarzalną wystawę „Małe formy graficzne” artysty porównywanego z A. Dürerem, Henryka Feilhouera.

Kilka tygodni euforii zamknęła porażająca wiadomość o ulotności ludzkiego istnienia i nieoczekiwanym odejściu na wieczny wernisaż, słowem nieprzewidywalnym losie planów...

Już po śmierci Artysty, od Jego przyjaciela, Romana Lonty, dowiedziałam się, że miejscowa Galeria Miejska starała się od kilku lat o pokazanie Jego prac.

Kiedy zostałam poproszona o napisanie tekstu do „Alej 3”, miałam sporo wątpliwości, czy jako tylko miłośniczka sztuki, nie jej krytyk, powinnam to zrobić. Przejrzałam dostępne mi materiały, poprosiłam Romana Lontego o rozmowę, poszłam przyjrzeć się „Golgocie Jasnogórskiej”...

Wrażenia jakich doświadczyłam, ułożyły się w poniższy tekst. Wykorzystuję tu słowa mojego rozmówcy, któremu bardzo dziękuję za pokazanie mi szlaków wcześniej niedostrzeżonych.

Jerzy Duda Gracz budował swój hermetyczny, zamknięty świat jak przez szkło powiększające. Świat ten był wielowymiarowy, pełen emocji, najczęściej skrajnych, ale Artysta lubił, aby wciąż wokół niego wrzało, kipiało. Prowokował zatem swym nieokiełznanym temperamentem, wywołując intensywne twórcze natchnienie, dzięki któremu powstawały różnorodne, sprawne warsztatowo, wyraziste obrazy, często całe ciągi tematyczne.

Prace Jerzego Dudy Gracza, tak jak to w sztuce bywa, były subiektywnym opisem otaczającej

rzeczywistości, ale i „zapisem” twórczej wyobraźni, ilustrującej zdarzenia metafizyczne. Wzbogaca obrazem prześmiewcze teksty literackie (*Chłop żywemu nie przepuści*, *Dialogi na cztery nogi*), odnosi się do postaci literackich czy malarskich (*Hamlet polny*, *Józefowi Chelmońskiemu*), akcentem autoironicznym czyniąc cykl autoportretów (*Autoportret z rodziną*, *Autoportret 1970*, *Autoportret 1980*, *Autoportret 1981*, *Autoportret 1982*).

Tym samym inteligentnie szydzi z cech i symboli narodowych, ośmiesza hipokryzję Polaków i dęty patos, pod którym kryje się ... pustka.

Tylko z powszechnie szanowanych postaci życia publicznego (*Rudzki*, *Waldorff*) nie czyni przedmiotu karykatury, podkreślając z przymrużeniem oka i humorem ich cechy charakterystyczne.

Ogromne, pomnikowe dzieło - *Golgota Jasnogórska* - to cykl 18 obrazów ilustrujących, a może raczej interpretujących Drogę Krzyżową, wedle artystycznego zamysłu Jerzego Dudy Gracza. Cykl kontrowersyjny, wywołujący przeróżne, skrajne spory. Ale jednocześnie Artysta czyniąc z krzyża symboliczne przesłanie pokory wobec życia, łączy oglądających, niezależnie od ich zachwyty czy krytyki dla całości swego dzieła.

Myszę, że największym sukcesem Jerzego Dudy Gracza stał się fakt, że jego malarstwo jest wciąż aktualne, może nawet bardziej teraz, niż w czasach kiedy powstało. Z kronikarza codzienności stał się wizjonerem przyszłości. Ulice są bowiem nadal pełne starych, biednych i brzydkich ludzi (*Motyw polski: Rura*, *Sztafeta*), zwłaszcza dziś, kiedy wkroczył do Polski drapieżny kapitalizm a wyż zastąpił niż demograficzny, biura pełne pijących z zapalem kawę biurw (*Krzyż polski – biurwa*), a kolejki lubianą formą „spędzania czasu” (*Krzyż polski – kolejka*).

Osiągając dojrzałość artystyczną, budując swoje, jakże trafne, odniesienia do rzeczywistości nabrał prawa do pouczania, stał się mentorem. Nie lubił krytyki za to, że złośliwie nazywano Go kronikarzem PRL-u i odwodził się jej nazywając środowisko warszawskie „warszawką”, a „skundlonymi partaczami” środowisko Krakowa.

Swoją twórczość nazywał uparcie obrazami, nie malarstwem; gdy przygotowywał wystawę, nigdy nie mówił o wystawie malarstwa, tylko o wystawie obrazów, czego dowodem tekst w katalogu retrospektywnej wystawy z Nowego Jorku, wydanym na 30-lecie pracy artystycznej: „*Z okazji jubileuszy artyści najczęściej prezentują na wystawach swój dorobek, jako sumę*

dokonań i osiągnięć. Nie podzielam tego poglądu. Mimo upływającego 30-lecia pracy artystycznej, miałbym kłopoty z taką prezentacją, bo sędzę, że wciąż jestem w drodze(...) Chcę pokazać po prostu to, czym się aktualnie zajmuję. Proszę zatem przyjąć tę wystawę mniej jako jubileuszowy pokaz możliwości, a bardziej jako intymne zwierzenie czego szukam w drodze do obrazu”.

Zdaniem Mirosława Borusiewicza, dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, które posiada dwie jego prace malarskie, obie z 1974 roku, zatytułowane: *Autoportret podług Caravaggia* oraz *Wenus Welnowiecka*, Duda Gracz posiada swoistą wartość jako komentator rzeczywistości społecznej. Liczni prekursorzy (np. G. Grosz) znajdują w nim interesującego na polskim gruncie kontynuatora. Zaliczany jest do twórców sztuki popularnej, choć bardzo przemawiającej do wyobraźni. Z całą pewnością dzieła miłe w oglądaniu i ważne społecznie.

Elżbieta Hurnikowa wspomina: *Z Jerzym Dudą Graczem zetknęłam się po raz pierwszy osobiście bodaj w późnych latach 80. Pojechałam wówczas z grupą studentów WSP w Częstochowie na umówione wcześniej z Artystą spotkanie w Bytomiu (...)* Jerzy Duda Gracz wprowadził nas w świat własnej sztuki, w jej tematy, obsesje, zakamarki, mówił o tym, czym jest dla Niego twórczość; przyjrzelśmy się „z bliska” Jego warsztatowi malarskiemu. Ważną częścią spotkania była rozmowa o sztuce w ogóle, zwłaszcza o architekturze współczesnej, której Duda Gracz zarzucił brak własnego stylu („styl mauretańsko-mazowiecki”, „namiotowy”). Pamiętam też, jak w humorystyczny i właściwy sobie, pół-ironiczny sposób przeciwstawiał odległy jeszcze wtedy i nie dla każdego dostępny świat Zachodu – plakatowy, oleodrukowy, nieautentyczny – polskiej prowincji, tej z podwarszawskich okolic, nieefektywnej, karykaturalnej, ale prawdziwej, do której się tęskni, może absurdalnie, będąc za granicą (...) Wiele osób podkreśla, że żył ostatnio w wielkim napięciu twórczym, w pośpiechu, jakby się obawiał, że nie zdoła ukończyć tego, co rozpoczął. Można powiedzieć, słowami poety, że Jerzy Duda – Gracz był „wpół drogi”, ale jestem przekonana, że wielcy artyści nigdy nie kończą swego dzieła.

Triumfem sztuki nad słabością życia i nieuchronnej śmierci, jest trwanie spuścizny artystów, niezależnie od tego, czy stanowi ona dzieło skończone czy nie.

Joanna Grochowska



Nowy Jork, rok 1960

Elżbieta Hurnikowa

O Halinie Poświatowskiej

*żyje się tylko chwilę
a czas –
jest przezroczystą perłą
wypełnioną oddechem*

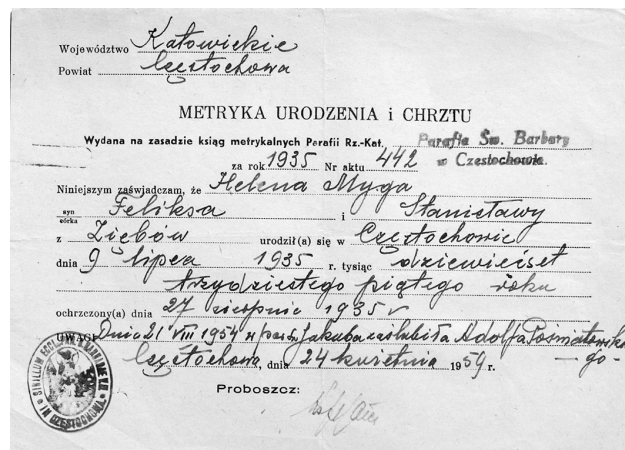
Słowa wiersza Haliny Poświatowskiej z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*, zawierające refleksję nad życiem i nad przemijaniem, dotyczą jednego z najważniejszych tematów w twórczości poetki. Poetki, która żyła zbyt krótko, w ciągłej obawie o to, że każda chwila może być ostatnia. Gdyby jednak życie mierzyć intensywnością przeżyć, okazałoby się, że Poświatowska swoimi doświadczeniami i siłą przeżywania obdzielić mogłaby kilka ludzkich istnień. Jej wiersze są – skoncentrowane

na podstawowych aspektach egzystencji, na jednostkowym losie i jego relacji wobec zagadnień uniwersalnych, na doświadczaniu chwili i ogarnianiu tego, co wieczne.

Na temat twórczości Poświatowskiej powstały studia krytyczne i szkice o charakterze popularyzatorskim, prace magisterskie i rozprawy doktorskie, znane powszechnie książki jak biografia *Nie popełniłam zdrady* Małgorzaty Szułyczyńskiej czy praca Grażyny Borkowskiej *Nierozważna i nieromantyczna*. Badaczy i czytelników fascynuje zarówno spuścizna poetki jak i jej biografia, co jest sprawą oczywistą w przypadku pisarza, którego dzieło nierozzerwalnie i ściśle związane jest z życiem, z tym, co stanowiło jego treść zasadniczą. Jak bowiem należałoby czytać wiersz:

*Halina Poświatowska to jest podobno człowiek
i podobno ma umrzeć jak wielu przed nią ludzi
Halina Poświatowska właśnie teraz się trudzi
nad własnym umieraniem
(z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*)*

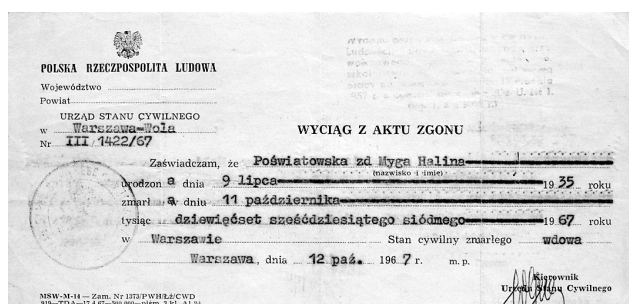
gdyby nie świadomość, że wyrasta on z najbardziej osobistych doznań, z doświadczeń człowieka postawionego wobec nieuleczalnej choroby. A jednocześnie wiersz ten stanowi przecież wykładnię treści uniwersalnych, dotyczy tego aspektu ludzkiej egzystencji, który wpisany jest w każde istnienie.



Odpis metryki urodzenia i chrztu

Biografię poetki można ująć w kilku zdaniach. Helena Myga (imię to zostało później zmienione drogą urzędową na imię Halina, którego używała jako imienia literackiego), córka Stanisławy i Feliksa Mygów, urodziła się 9 maja 1935 roku w Częstochowie, przy ulicy 7 Kamienic. W wyniku choroby, którą Halina przechodziła w dzieciństwie, u schyłku wojny,

rozwinęła się wada serca (przyczyną było reumatyczne zapalenie wsierdza). Choroba serca naznaczyła swoim piętnem całe dalsze życie przyszłej poetki. Skazała ją na długie leżenie w łóżku, pobyty w szpitalu, uniemożliwiła regularną naukę. W 1954 roku Halina wyszła za mąż za Adolfa Poświatowskiego, małżeństwo trwało niespełna dwa lata. Adolf, również chory na serce, zmarł w 1956 roku. Dzięki staraniom Polonii amerykańskiej i ludzi dobrej woli w roku 1958 poetka wyjechała do Stanów Zjednoczonych i w filadelfijskim szpitalu poddała się operacji serca, która przedłużyła jej życie o 9 lat. W Ameryce pozostała Poświatowska do 1961 roku; dzięki przyznanemu stypendium mogła rozpocząć studia w Smith College w stanie Massachusetts. Po powrocie do Polski studiowała na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, w roku 1963 uzyskała tytuł magistra filozofii; podjęła pracę na stanowisku asystenta, przygotowywała się do doktoratu. Zmarła w 9 dni po kolejnej operacji serca (przeprowadzonej w Warszawie), 11 października 1967 roku. Pochowana została na cmentarzu Świętego Rocha w Częstochowie. Pozostawiła po sobie zbiory wierszy: *Hymn bałwochwalczy* (1958), *Dzień dzisiejszy* (1963), *Oda do rąk* (1966), *Jeszcze jedno wspomnienie*, tom prozy autobiograficznej *Opowieść dla przyjaciela* (1967), opowiadania; część utworów nie była publikowana za życia poetki. W roku 1967 podczas Gdańskich Spotkań Jesiennych Poświatowskiej przyznano pośmiertnie nagrodę „Pierścienia” za całokształt twórczości.



Z psem Timem, Częstochowa 1964

Próby opisanego wyglądu Haliny Poświatowskiej świadczą, jak trudno było jednoznacznie ocenić urodę poetki. Zachowane fotografie nie zawsze oddają wewnętrzny urok, jakim promieniowała w kontaktach z bliskimi sobie osobami. Nie dostrzegali go ludzie mniej z nią związani. Ryszard Kłyś pisał zdecydowanie: *Pamiętam ją doskonale. Blondynka o popielatym odcieniu włosów, ogromne zielone oczy...* – akcentując jednocześnie, iż nie była klasyczną piękną, ale odznaczała się urodą interesującą. Jerzy Bigosiński, kuzyn Poświatowskiej, który miał z nią ścisły kontakt w Stanach Zjednoczonych, przekazał podobny wizerunek: *Halina była ciemną blondynką o ładnym profilu, zielonych oczach i wysokich policzkach.* Brat Poświatowskiej, Zbigniew Myga, prostuje niektóre szczegóły: *Portret Haliny Poświatowskiej? 166 cm wzrostu, zgrabna, ładna, fryzura różna: przed wyjazdem do Stanów długa, potem na ogół krótka, pod koniec życia taka za uszy. Nie była blondynką, nieprawda, miała kasztanowate włosy. Oczy zaś szare, ale mówiła, że zielone.* Kasztanowe włosy Poświatowskiej pamiętał Stanisław Grochowiak. Tadeusz Nowak, który poznał poetkę po jej powrocie z Ameryki, kiedy przebywała w Krakowie, utrwalił ją jako bardzo piękną

Akt zgonu

Tę skrótową biografię można mniej lub bardziej uszczegółowić, uzupełnić o dane dotyczące różnych etapów życia. Na przykład o przebieg choroby i leczenia, okoliczności debiutu, historię małżeństwa i związku z mężczyznami, pobyt w Stanach Zjednoczonych, na stypendium w Paryżu w 1966, etc. Pozwalają one zrekonstruować losy poetki, dotrzeć do źródeł jej twórczości. Prawdziwie pełny, ludzki, wyrazisty wizerunek Haliny Poświatowskiej wyłania



Legitymacja studencka, Paryż 1966



Dyplom Smith Collage w Northampton, Massachusetts (USA, 1961)



ANDRZEJ STOPKA



Helena Podolska, poetka

Karykatura autorstwa Andrzeja Stopki opublikowana w "Życiu Literackim"



kobietę, wysoką i szczupłą: *Zjawisko na poły wiosenne, na poły jesienne*. Jan Pieszczachowicz podkreślał, że jej uroda była uderzająca: *niebanalna, jakaś niespokojna, krucha*. Tadeusz Śliwiak uważał, iż Halina była piękna, ale to piękno wynikało z istoty jej osobowości.



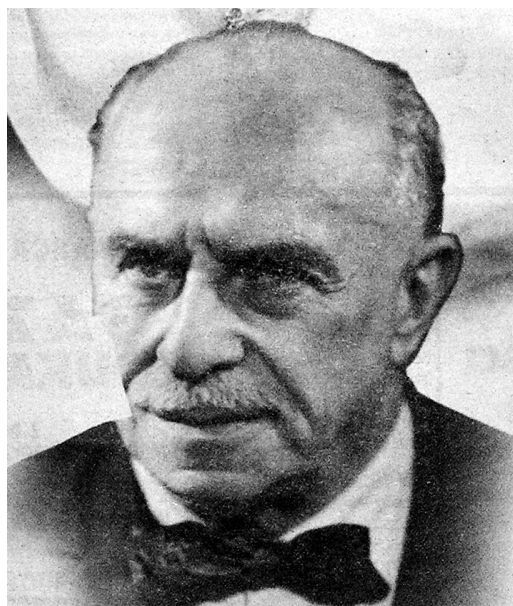
Fot. z okresu pobytu w USA, rok 1960

Tadeusz Gieryski, który zetknął się z Poświatowską w 1956 roku i umożliwił publikację jej debiutanckich wierszy w „Gazecie Częstochowskiej”, polemizując po trosze z krakowskim poetą, w gruncie rzeczy przyznał mu rację: *Nie należała do pięknych dziewczyn w potocznym znaczeniu tego określenia. (...) nie należała do kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy. Nie była brzydka, raczej ładna. Lecz dopiero ta „ładność” plus jakiś wewnętrzny, chorobliwy blask emanujący z całej osobowości składał się na piękność*. Siostra Adolfa Poświatowskiego wspominała natomiast: *Była bardzo przystojną dziewczyną. Gdy szliśmy razem, chłopcy oglądali się za nią. Podobała się. Zresztą, nie dziwię się temu*.

Dla oddania nieuchwytniej urody poetki najbardziej odpowiednim tworzywem wydaje się materia liryczna. Dowiódł tego Tadeusz Śliwiak w wierszu dedykowanym Poświatowskiej napisał: *Pewnie jesteś już cała ze srebra i z księżycowej poświaty...* czy Stanisław Grochowiak w wierszu *Halszka*:

W niewielkim pokoju na Krupniczej
Ujrzałem dziewczynę wśród książek.
Nie była ładna – była na zbyt Piękna,
Nie była tkliwa – była na to zbyt Czula.

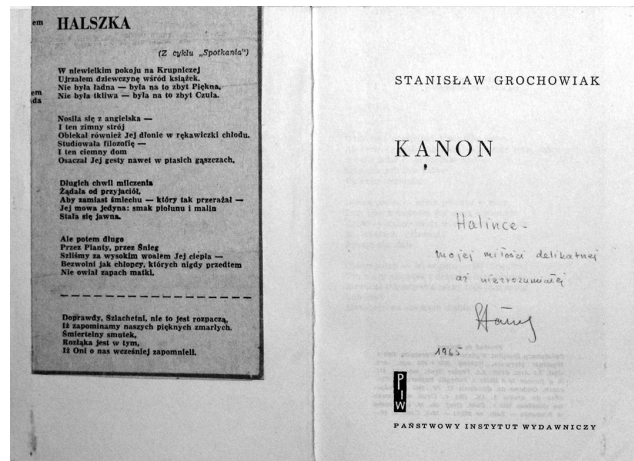
Osobowości poetki również nie sposób było jednoznacznie określić, wymyka się próbom uproszczonej charakterystyki. Jerzy Bigosiński podkreślił czytanie i inteligencję Haliny, upór i ironię, pewność siebie. Ryszard Kłysz wspomina ją jako postać eteryczną, delikatną, lubiącą ludzi i spotkania z nimi, poetka Beata Szymańska-Aleksandrowicz – jako osobę trudną, okrutną, często złośliwą, określając jednocześnie charakter relacji Poświatowskiej z otoczeniem: *Z Haliną to było tak: albo się jej nie znosiło, albo uwielbiało. Trudno było pozostać obojętnym*. Jerzy Lisiewicz, lekarz w kierowanej przez profesora Juliana Aleksandrowicza III Klinice Chorób Wewnętrznych w Krakowie, w której w roku 1949 po raz pierwszy znalazła się Halina, napisał o młodej pacjentce: *Jej sposób widzenia świata, język, jakiego używała, szczególna optymistyczna postawa wobec życia – a przecież była nieuleczalnie chora – a także pogodny, kobiecy wdzięk i trudny do oddania w słowach czar osobowości, wywierał na nas wszystkich najgłębsze wrażenie dopełnione przez gorycz świadomości jej nieuchronnego losu*.



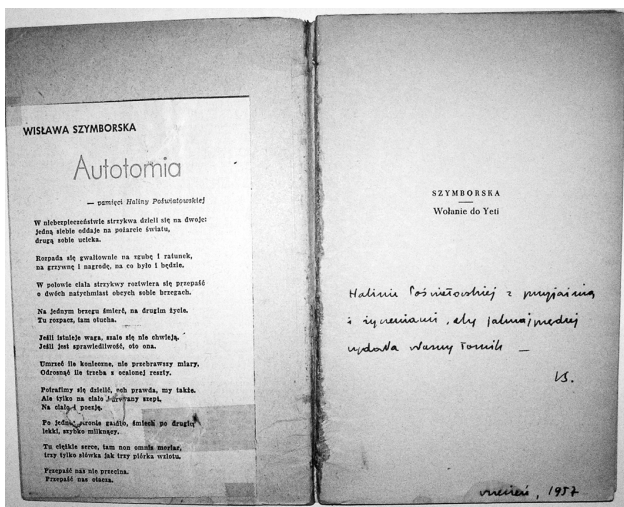
Prof. Julian Aleksandrowicz

Profesor Aleksandrowicz odegrał wielką rolę w życiu Haliny. Podkreśla to wiele osób, a przede wszystkim matka poetki, Stanisława Mygowa, przypominając, iż to właśnie profesor dołożył wszelkich starań, by wysłać Halinę na operację do Stanów Zjednoczonych. Uczynił dla niej ponadto coś, co wykracza poza obowiązki „zwykłego” lekarza. Dostrzegając zainteresowanie młodej dziewczyny poezją, poddał jej myśl pisania wierszy – by tworzenie chroniło ją przed myślą o śmierci. Autor książki *Nie ma nieuleczalnie chorych* ustanowił niejako tym samym rodzaj terapii: *Dowodła nam Haśka swym życiem i twórczością, że można mieć chore tak istotne dla życia narządy jak serce, a przy tym samemu wytworzyć w sobie pełnię sprawności psychicznej i społecznej, czyli subiektywne poczucie zdrowia*. Wiele osób za „siłę sprawczą” poetyckich poczynań Haliny uważa także matkę, która poświęcała utalentowanej córce swój czas i energię, okazując wielki hart ducha i wytrwałość (Bogumiła Panczenko-Kresowska).

Jej miłość do życia miała w sobie coś istotnie religijnego, była to przecież religia niedozwolona, z góry skazana na niewdzięczność i brak łaski, religia bałwochwalcza. Oto kobieta, której każde żywsze poruszenie serca groziło śmiercią, wielbiła miłość nieposkromioną, zmysłową, cielesną.



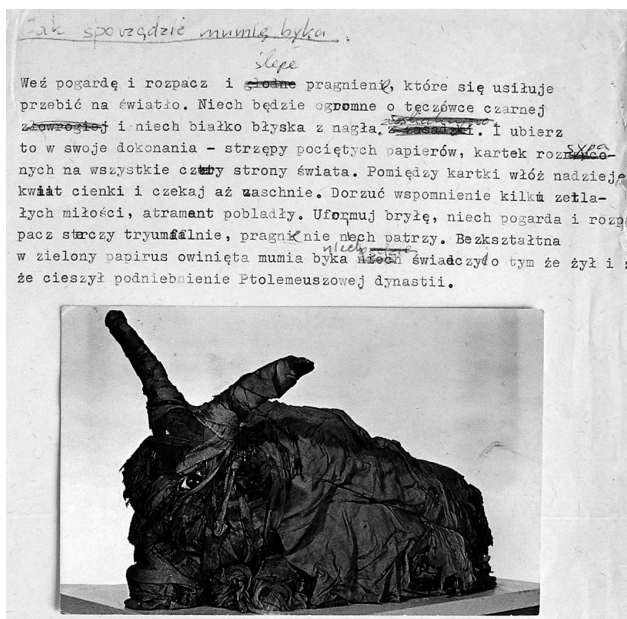
M. Grochowiak: "Halince - mojej miłości delikatne aż niezrozumiałej" (1965)



W. Szymborska: "Halinie Poświatowskiej z przyjaźnią i życzeniami, aby jak najprędzej wydała własny tomik" (wrzesień 1957)

Niepospolita osobowość młodej poetki sprawiała, że skupiali się wokół niej niezwykli ludzie - muzycy, aktorzy, artyści krakowscy – a wielu pisarzy doceniło jej talent. Dzięki profesorowi Aleksandrowiczowi poznała Wisławę Szymborską; autorka *Wołania do Yeti* poświęciła po latach pamięci Haliny Poświatowskiej wiersz *Autotomia*. Tym, co w osobowości i w twórczości poetki bodaj najbardziej zwracało uwagę, była postawa wobec życia. *To zdumiewające, jak ta dziewczyna pisząca wiersze, kochała i szanowała życie – odnotował Stanisław Grochowiak – Pierwszy tom poezji, który wydała, nazywał się „Hymn bałwochwalczy”.*

Uwielbienie życia przy jednoczesnym stałym zagrożeniu śmiercią wyznacza podstawowe antynomie życia i twórczości Haliny Poświatowskiej. Wydaje się, przynajmniej z pozoru, sprawą dość paradoksalną. Ale na paradoksie opierała się czasem postawa wobec przeżyć, na jakie skazana była poetka, jej widzenie świata i specyficzne poczucie humoru, dowcip, język, jakim się posługiwała (wspominał o nim Jerzy Lisiewicz). Dowcip i autoironia stanowiły najskuteczniejszą broń przeciw poczuciu tragizmu i grozy istnienia. Przed pierwszą operacją w 1958 roku pisała w liście do Haliny i Józefa Wittlinów: *3 tysiące operacji – to jest jednak coś – nawet mi się śmiać chce, że mnie trochę zamrozą przed tym – jak tego indyka na chrzciny*. Już po operacji, w grudniu 1958, w liście do brata ciotecznego, Jerzego Romana, ironizowała: *Na razie wszystko ładnie – ludzie nie skąpi i żyją sobie, jak tasemiec na wątrobie Polonii. (...) Ludzie się mogli przy śniadaniu zakładać, czy wyżyją, czy nie, bo wszystko było w gazecie*. W 1967, w liście do Anny Orłowskiej pisała w podobnym stylu: *Rozchorowali mnie w tym szpitalu na dobre – głowa boli i wątroba boli i smutek serce żre i perspektywy ciemne - a jaśniejszych nie widać. Profesor nie chce słyszeć o rychłym mnie uwolnieniu i króluje pośród białaczek i niedomóg serca (...)*



Maszynopis wiersza "jak sporządzić mumię byka" - z odręcznymi poprawkami oraz zdjęciem "inspiracji"

Wśród zmagañ z chorobą powstawały wiersze, które dotyczyły spraw bliskich życia. W miniaturowej formie lirycznej znalazły wyraz doznania, które mogą wypełnić całe długie ludzkie życie, a które w przypadku Poświatowskiej skumulowane zostały w krótkim czasie, jaki został jej wydzielony przez los. A mimo to, czy może raczej właśnie dlatego *Halina należała do najbardziej żywych między żywymi*- jak to ujął ks. Józef Tischner. I jej poezja stała po stronie życia i tego, co w nim fundamentalne – miłości do świata, przyrody, miłości do drugiego człowieka. Tadeusz Nowak tak scharakteryzował tę „świetlistą” twórczość: *Poezja Poświatowskiej była podminowana, podbita czymś bardzo erotycznym, cielesnym, a jednocześnie niesamowicie ulotnym. (...) Nie mogliśmy zrozumieć, że jest ktoś, kto w ciągu paru miesięcy, może roku, spróbował przeżyć fizycznie - w słowie, w metaforze, w pięknym obrazie – całe swoje życie.*

Pragnąc przezwyciężyć zagrożenia jednostkowego losu, poetka ustanawiała własną hierarchię wartości:

*Nie pytaj o życie
zapytaj o miłość
to jedno*

Skoro najwyższą wartością w poetyckim świecie Poświatowskiej jest miłość, nadana jej została ranga religii:

modlę się do ciebie

*jaka to religia
w której czci się usta
wygiętego boga przedświtów*

(z tomu *Hymn bałwochwalczy*)

Już poprzedniczka Haliny Poświatowskiej, poetka Dwudziestolecia międzywojennego, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska stworzyła „religię miłości”, opartą na analogicznej hierarchii. Sławiła miłość pełną, zmysłową, jak dowodzi chociażby wiersz *Modlitwa*, w którym znalazły się „bluźniercze” słowa: *O pocałunku, któryś jest w niebie!* Bóg i aniołowie pojawiali się w tych erotykach, by nadać właściwą rangę miłości ziemskiej, cielesnej, pełnej.

Miłość w wierszach poetki świadomej tego, że śmierć może nadejść w każdej chwili, jest czymś znacznie więcej. Określa sens egzystencji, stanowi najbardziej elementarne potwierdzenie indywidualnego istnienia:

szepczę

życie

*- jak gdyby życie było kochankiem
który chce odejść –*

(z tomu *Oda do rąk*)

Miłość pojmowana jest też w kategoriach biologicznych, to one określają kobiecą kondycję podmiotu wierszy, ustanawiają kult ciała i jego piękna:

*jestem zaczadzona pięknem mojego ciała
patrzyłam dzisiaj na siebie twoimi oczyma odkryłam
miękkie zagięcie ramion znużoną okrągłość piersi*

(z tomu *Hymn bałwochwalczy*)

Mocne odczucie własnej biologicznej natury potwierdza się w nieustannej konfrontacji ze światem przyrody. W liryce Poświatowskiej jest on niezmiennym układem odniesienia – od początku twórczości, podobnie jak był dla Pawlikowskiej. Deklaruje tu poetka poczucie wspólnoty z każdym niemal, nawet najdrobniejszym elementem organicznym, potwierdza swoją zwierzęcą (i roślinną) istotę, której prapoczątki sięgają tej symbiozy wszystkich istnień, jaka miała miejsce w raj:

*nie potrafię być tylko człowiekiem
jest we mnie spłoszona mysz
i lasica węsząca zapach krwi
i przestrach i pościg
porosłe włosem mięso
i myśl*

(z tomu *Oda do rąk*)

Szczególne miejsce w poetyckim świecie Poświatowskiej zajmuje ptak, który staje się metaforą pragnienia życia, erotycznej tęsknoty, a także - bólu istnienia:

*przepiórko mojej troski
ciemne ziarno bólu*

(z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*)

*ptaku mojego serca
z opuszczonymi skrzydłami
nie szarp się
nakarmię cię ziarnem śmierci
zaśniesz*

(z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*)



Z psem Sparky'm, w domu wuja Henryka L'Fiedorowicza (Yonkers 1958)

Los jednostkowy podlega nieubłaganym prawom przemijania. Świadomość ta przejawia się szczególnie wyraziście w takich utworach, jak np.: *koniugacja*:

*Ja minę
ty miniesz
on minie
mijamy
mijajmy
woda liście umyła olszynie*

(z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*)

jeszcze jeden minął dzień, czy w cytowanym na początku wierszu zaczynającym się od słów *żyje się tylko chwilę*. Skoro w liryce Poświatowskiej pada pytanie: *czy świat umrze troszkę jak ja umrę* - może sposobem ocalenia, a raczej utrwalenia jednostkowego losu jest wpisanie go w ciąg istnień, tych, które przynależą

do świata kultury, zyskały znaczenie symboliczne? W świecie poetyckim Poświatowskiej pojawia się szereg postaci, które uosabiają i umacniają mit wiecznej, niezniszczalnej miłości, a jednocześnie umożliwiają pełną autokreację podmiotu. Wenus, Izolda, Julia, Carmen istnieją tutaj zarówno w wymiarze ponadczasowym jak i jednostkowym:

*Jestem Julią
mam lat 23
(...)
Jestem Julią
mam lat tysiąc
żyję -*

(z tomu *Hymn bałwochwalczy*)



W domu wuja Henryka L'Fiedorowicza (Yonkers 1959)

Bez miłości nie ma życia, nie ma zmiłowania ani odkupienia – głosi Poświatowska, potwierdzając „religijne” zasady obowiązujące w jej poetyckim świecie od pierwszych – po ostatnie utwory. Tak jak to jednoznacznie wyrażone zostało w wierszu *Jeszcze nie wspomniałam o miłości* z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*:

*miłość
tak ona jedna
nie podlega upływowi czasu
trwa -*

Elżbieta Hurnikowa

Literatura:

Małgorzata Szulczyńska, „*Nie popełniłam zdrady*”. *Rzecz o Halinie Poświatowskiej*, Kraków 1990; „*ja minę, ty miniesz...*” *O Halinie Poświatowskiej. Wspomnienia, listy, wiersze*, zebrała i opracowała Mariola Przywan, Warszawa 2000; H. Poświatowska, *Ogień zielonych księżyców*, Koszalin 1993.

Ilustracje z archiwum Zbigniewa Mygi.



TURNIEJE JEDNEGO WIERSZA

Ireneusz K. Korpyś

Przydrożne samice

stała na poboczu po kostki w trawie
 ociekająca popołudniową wilgocią skóra
 była symetrycznie opalona
 miała długie smukłe nogi jak modelka na wybiegu
 naturalne rzęsy skrywały czarne i żywe oczy
 była młoda
 zbyt młoda
 napięte oczekiwaniem sutki skupiały uwagę
 nie tylko mężczyzn
 wywołując zwierzęce instynkty
 chciało się ssać i dotykać
 jej dużych piersi i sutek jej ciała
 skąpa odzież którą nosiła
 odsłaniała wszystko oprócz szyi i uszu
 nerwowo tarła udami
 sprawiając wrażenie nadmiernie podnieconej

długo stała tuż po wiosennym deszczu
 wydawało się że czeka na mężczyznę
 który zabierze ją na przechadzkę
 zaprowadzi do stodoły i rzuci na siano
 drżącą w erotycznym uniesieniu
 a później wytrze zmoczoną posmakiem niewinności twarz

wielu przystawało aby podziwiać jej nagość
 fotografowali ją
 prosiła aby tego nie robić w swoim języku
 pomimo że rozkosznie poruszała ustami
 nie zrozumieli żadnego ze słów

długo czekała
 nikt się nie zjawił
 smutek patrzył spod migoczących żądzą rzęs
 pasającej się przydrożnej krowy
 rolnik ponownie o niej zapomniał

Krystyna Kolompar

Czasem mówię ci ...

Dla WMG

Czasem mówię Ci, że nie mam czasu.
 Że mnie boli głowa, albo się przepracowałam.
 No a w biurze szef był ożywiony,
 robił mi aluzje i miał szybkie ręce.

Ale teraz to nie czas na telewizję,
 Na muzykę Rolling Stonesów.
 Pranie mogę zrobić jutro.
 Matka rano też zadzwoni,
 a niedroga kiecka w sklepie
 może wisieć aż do poniedziałku.

Teraz, proszę, idź się umyć.
 Ja powoli skończę papierosa.
 Już i tak za długo
 czeka na nas przeziębione łóżko.

Ostatnia ubiegłoroczna edycja Turnieju Jednego Wiersza o Nagrodę CARA odbyła się 29 grudnia 2004 r. Gospodarzem – jak zwykle – był Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie. Wiersze poetyckich adeptów oceniało jury w składzie: prof. Elżbieta Hurnikowa (przew.), Elżbieta Jeziorowska-Wróbel i Ryszard Sidorkiewicz. Decyzją jury nagrodę w wysokości 100 zł podzielono pomiędzy dwoje autorów, a laureatami zostali: Ireneusz K. Korpyś za wiersz pt. „Przydrożne samice” i Krystyna Kolompar za wiersz pt. „Czasem mówię ci...”. Gratulujemy i prezentujemy nagrodzone utwory.



Ireneusz K. Korpyś

MIŁOŚĆ BIUROWA Z TAJEMNICĄ W TLE

pierwsze wewnętrzne rozporządzenia przedsiębiorstw
odbierają zdolność mowy biurkom
dzieje się tak za każdym razem
gdy powstaje firma

pytani o ten fenomen pracownicy
milczą
prezes odwołuje się do rzecznika prasowego
który udaje sprzęt biurowy
zasłaniając się dobrem firmy

najbardziej rozmowne są same biurka
ekshibicjonistycznie pokazując nadwyróżzone nogi
nagie blaty porane kobiecymi paznokciami
niczym plecy kochanka podczas szczytowania
I WSTYDLIWE PLAMY obok szuflad

Kopryś idzie jak burza

W pierwszym tegorocznym Turnieju o nagrodę ubiegało się 17 osób, a stopień ich wtajemniczenia w kunszt poetycki oceniało jury: dr Arkadiusz Frania, Wiesław Leszczyński (przewod.) oraz dr Elżbieta Wróbel. Jurorzy stwierdzili wprawdzie, że „poziom zaprezentowanych wierszy był średni”, nagrodę jednak przyznali. A otrzymał ją Ireneusz K. Korpyś, za wiersz pt. „Miłość biurowa z tajemnicą w tle”. Naszym zdaniem całkowicie zasłużenie, gdyż pan Korpyś poetą sprawnym jest.

Nasi czytelnicy zauważyli zapewne, że nazwisko Ireneusza K. Koprysta, jako turniejowego zwycięzcy, dość często pojawia się na naszych łamach. Przypomnijmy, że w ubiegłych latach laureatami-recydwistami byli tacy autorzy, jak Wioletta Grzegorzewska, Marcin Janocha, Rafał Kasprzak, Mateusz Szkop, Piotr Tarnowski i Krzysztof Seweryn Wroński. Wszyscy są już po pierwszych książkach i fakt ten – w ich przekonaniu – sytuuje większość tych autorów w lokalnej konstelacji gwiazd. Prawda jednak jest taka, że jeszcze daleko im do dorobku wielu ich rówieśników (Podsiadło, Macierzyński i inni) ze stron krajowych pism literackich. Także nazwiska naszych rodzimych gwiazd jeszcze niewiele mówią nawet dość wnikliwym czytelnikom poezji. Mamy jednak nadzieję, że poecie Korpysowi ten lokalny wirus nie grozi, a warsztat swój pracowicie i w pokorze doskonalić będzie. Czego Mu szczerze życzymy. (WMG)



Janusz Mielczarek

TRĄBKA

Nad nią było niebo koloru welonu na figurce Najświętszej Panienki, której najchętniej powierzała swoje tajemnice. Z oddali doszedł szum pociągu, najpierw ledwie słyszalny, jak bzyczenie owada, potem wyraźniejszy, ale wciąż daleki. Cisza oznaczała postój na polnej stacyjce. Po chwili ruszył, by za minutę, może dwie, zaginać. Jak ludzie – pomyślała – przychodzą, dużo gadają, przeważnie o sobie, a kiedy cichną, znaczy, że będą niedługo z hałasem odchodzić. Tę łąkę wokół pamięta taką samą od lat, kwitnie sobie, nikt jej nie kosi, nie podsypuje jakimś świństwem, żeby lepiej rosła. Inny świat – powiedziała do siebie – zupełnie inny...

- Tato! – zawołała, ale ojciec palcem przy ustach poprosił o ciszę. Nie wytrzymała – tatusiu! – Nie odezwał się. Trzymał w dłoni pęczek łąkowych kwiatków. Myślała, że to dla niej, ale on przekładał je z jednej ręki do drugiej, raz po raz, powoli, jakby się nimi obmywał. Wreszcie usiadł, obejrzał swoje dłonie z jednej i drugiej strony, sięgnął do kamizelki, wydobyl kieszonkową cebulę, nakręcił starannie, przyłożył do ucha. Jej też dał posłuchać. Zegarek tykał mocno, ale w jego głosie była domieszka łagodnej śpiewności, taki ułamek sekundy muzyki, jakby chciał przez to powiedzieć, że jest nie tylko maszyną.

- Chodzi – zauważyła – pięknie chodzi.

Ojciec uśmiechnął się i przyjrzał zegarkowi raz jeszcze. Otworzył porysowane, żółtkłe szkiełko i niezgrabnymi palcami, jakby wyrywał nogi muchy, oderwał wskazówki i rzucił gdzieś za siebie.

- Dlaczego to zrobiłeś, to był taki piękny zegarek po dziadku?

- On już niepotrzebny, kochanie.

Pierwszy raz powiedział do niej – kochanie. Bo prości ludzie nie bawią się w takie ceregielne słowa. Powoli zaczął odsuwać się, jakby skrawek trawy, na którym siedział, miał kółka i odjeżdżał z nim ku stronom, gdzie niedawno szumił pociąg. Brzmiące jeszcze w uszach tykanie zegarka mieszało się teraz z dalekim dźwiękiem trąbki.

Otworzyła oczy, potrząsnęła głową. Chwilę temu niebo miało inny odcień, ale głos trąbki był prawdziwy.

Uniosła się na łokciach: od strony smugi, za którą na piaskach gięły się dalekie sosny, szedł powoli mężczyzna w zielonej koszuli i pogrywał na trąbce. Słońce miał nieco z tyłu, więc jego postać w cieniu wyglądała na przyklejoną do pokręconych złotych rurek, na których przysiadło słońce z całej okolicy. Opadła na plecy pod niebo znowu podobne do welonu Najświętszej Panienki i nasłuchiwała. „Uciekł z orkiestry, albo go wykopali, bo fałszował – myślała. – Może do jakiejś baby go niesie, bo komu by się chciało grać dla nikogo?”

Trąbka umilkła. Podniosła głowę: mężczyzna stał przy drzewie wypalonym piorunem, uniósł trąbkę, nacisnął na taki dings, którym spuszcza się ślinę i ruszył ku niej.

- Dobry dzień, piękna kobieto!

Parsknęła śmiechem.

- Pan w sprawie? – zapytała nie przestając żuć żdźbła trawy.

- Bez potrzeby, jeśli można. Wędruję tak sobie, gdzie słońce drogę wskaże i dmucham.

- Co pan robisz?

- Dmucham w mój przyjacielski instrument, a z niego różne figle migle na okolicę wędrują.

- Bóg nawet pomaga. Całkiem, całkiem...

- A na tym polu, co legło jak persjański dywan niejaki, tu pszczołka, tam motylek, a między tym ogrodnictwem Wenus, widzę, rozkłada się niejaka, niby na obrazie olejnym ręcznie wymalowanym.

- Chrzanisz gościu. Z pamięci lecisiz, do każdej tak samo.

- Choć granie, wiadomo, uwagę pochłania, to jednak widzę, jak dwa wzgórze biją ku zachwyconym oczom niebios, więc pomyślałem, że i mnie spojrzeć wypada.

- Zbyteczna fatyga.

- Nieprawda, bo za pozwoleniem łaskawej pani, dojrzałem, że nie tylko cyce u niej, jak baterie przybrzeżne na niejakej wyspie Krecie, w wojennym czasie, ale reszta też rzec by można – wystrzałowa.

- Idź grajku, z Bogiem.

- Pójdę, to jasne, odpocznę chwilę i oddechu świeżego załapię, żeby znowu coś zagrać. Bo jak się zacznie, droga pani, to później wszystko dokoła się tego domaga. – Usiadł. – Tak mi się widzi, że pani w zamyśleniu niejakiem pochłonięta. Musi być coś ważnego?

- Musi. Tatuś mi w myśli.

- A co mu dolega?

- Był tu niedawno i zegarek zabytkowy posuł, ale powiedział mi – kochanie. Pierwszy raz...

- To piękna rzeczy słyszeć coś takiego – mężczyzna legł w trawie i kręcił młynka trąbką.

- Lepiej pan zagraj, żebyś nie zasnął z tego zmęczenia.

- Jakże by można zasnąć przy takiej kobiecie, chyba wyłącznie z miłości. Tak sobie myślę niepoprawnie w skrytości mojej, ale zagrać też mogę, choć na leżąc trudności bywają, bo ślina się cofa i nie wychodzi najlepiej.



Rys. Jacek Pałucha

Po kilku taktach zerwała się nagle.

- To samo grał kulawy Antoś na naszym weselu. Tak nas z Zenkiem sparło na kochanie, że uciekliśmy cichcem do takiej szopki z sianem. Wszystko zostało porzucone: gorzałka, świniaki, goście, tańce, tylko my wczepieni w siebie, jak te głodne psy, jak dzikusy... Ale chytrusy nas znalazły i belka po belce, deska po desce szopkę rozebrali. Siano tylko zostało a my na nim, na samej górze, rozhuśtani jak w lunaparku. Można nas było wynieść, spalić, zarąbać, udusić. Nie było nas na tym świecie. Dopiero od muzyki ocknięcie przyszło. To samo grał.

- To się nazywa „Cisza”.

- Niech będzie, ładnie się nazywa. Całe wesele się zeszło, wszyscy, z babciami i dziećmi. A my jak Adam i Ewa zaproszeni do wyjścia z Raju głosem trąbki Archanioła Gabriela, patrzyli na to oczami upiórów

wyrwanych ze snu i wlekli się z tej kopy siana utyłani, z pogryzionymi wargami, zapadając się na miękkich nogach aż po pas. – Opadła w trawę. – Graj pan dalej, ładne to. – A, że wciąż było cicho, więc dodała. – Musu nie ma. Artyści trudne ludzie, wiem coś o tym. Mój Zenek też na akordeonie koncert mógł zrobić, i nawet w powiat jeździł na muzyczne udzielanie. Wszystko zagrał, w papiery nie musiał doglądać.

Mężczyzna spał. Trąbka wypadła mu z ręki i leżała skosem na twarzy.

- Z nimi tak zawsze – mruknęła – przyjemności mało a spania dużo.

Podniosła się ostrożnie, przeszła za kępę sitowia. Obcy nawet nie drgnął. Wróciła, przyjrzała mu się: ciemna od słońca twarz przerysowana była powojem cienkich zmarszczek, spod których przebijały pogodne rysy chłopaka. „Tylko takie duże dziecko – pomyślała – może iść pustym polem i grać, ot, tak sobie, bez potrzeby. Wygląda teraz na ofiarę spadającej z nieba trąbki. Różne rzeczy z nieba lecą, trąbka też może”. Ustawiła się tak, że jej cień zakrył mu twarz. Wkrótce poruszył się, instrument położył obok.

- Zagraj – podał jej trąbkę.

Zaśmiała się głośno, dotknęła metalem twarzy, spojrziała na ten śmieszny mały lejek, w który się dmucha, chciała go przyłożyć do ust, ale na wargach mężczyzny zobaczyła małe okrągłe zagłębienie i koronkę ciemniejszych spękań wokół.

- Idę, graj sobie dalej sam. – Oddała mu trąbkę. Przeszła może dwadzieścia kroków, gdy granie odezwało się znowu. Trąbił to samo, co kulawy Antoś przy sianie. Przysiadła, głos zbliżał się, aż ucichał nad jej głową.

- Co się stało? – zapytał.

- Niby nic, ale dużo biedy może być z grania. Wiem coś o tym. To właśnie tłucze mi się w myślach. I tatuś w tej sprawie odwiedziny zrobił.

- I powiedział – kochanie.

- Bo kiedyś nie zdążył.

- U mnie z graniem przymusu nie ma, a instrumentowi też odpoczynek należy. – Sięgnął do chlebaka po jabłko, rozłamał na pół i podał jej część.

- Dobrze – podziękowała – on też był dobry, choć po całym powiecie za pieskami, co bezpieczeństwa, ściagał. Kiedyś przywiózł takiego wygolonego, białego dziwaka, którym bez przerwy tylko dygotki rzucały. Miałam się nim zająć, ale następnego dnia auto z jegomościem zjechało, co chciał wykupić białego za niezłe pieniądze. Tatuś nie był chytry i powiedział, że sam go odda pod



wskazany adres. Mnie też zabrał. Staliśmy z pół godziny pod furtką, bo z otwartych okien, przez ogród, muzykę było słychać. Prosiłam, żeby zostawił białego za płotem i wracał do domu. Ale on tylko o graniu mówił, na okrągło, że nigdy takiego nie słyszał, że trzeba poczekać. Granie ucichło i dopiero wtedy zadzwonił. Ta paniusia, jak zobaczyła golonego, to do furtki dopadła i oboje kwiczeli, jak zarzynane świniaki. Z tego kwiku, to tatusia nawet w policzek pocałowała, a mnie ciastko i cukierki dała na drogę.

Od tej pory tatuś w zawodzie się opuścił i późno do domu powracał. Wyszpiegowałam go. Gorzko tego pożałowałam, bo zobaczyłam przez okno paniusią grającą na fortepianie a jego klęczącego obok. Jak zmęczyła graniem te swoje trupiaste ręce, to wstawiała ze stołka i kopała go, potem znowu grała i znowu kopała. Za którymś razem nie wytrzymałam, złapałam kawał cegły i rzuciłam, ale jej nie zabiłam. Dwa dni później przywieźli go zbitego, pokrwawionego. Nic nie chciał mówić. Pomogłam mu się obmyć, chciałam opatrzyć. Nie pozwolił. Założył czystą koszulę, wypalił papierosa i powiedział, że idzie do gospody. Kłamał. Jak tylko za jakiś czas usłyszałam wycie psów, wiedziałam, że stało się coś złego. Zanosilo się na wieczorny deszcz i zmrok popędzał do domów ostatnie wozy z sianem. Powiesił się. Z tej całej hańby, co go oplątała, zrobił to w sraczu. – Jej mocne, lekko żółtawe zęby delektowały się ostatnimi kęsami jabłka. – Widzisz więc, gościu, jak dobre szybko w złe zmienić się może, a muzyka, ogieniek dla duszy, lodem serce rozerwać.

- Dobrze, że powiedział ci – kochanie.

- Takie rzeczy mówi się o swojej porze. – Zamknęła oczy i uniosła twarz ku słońcu, jak do opalania. – Tylko dlaczego popsuł dziadka zegarek? – Znowu odwróciła się w stronę grajka. – Śmieszny jesteś z tym swoim graniem. Idzie sobie taki komediant – uniosła zwinięte dłonie naśladując granie trąbki – myszom, kretom i zającom podgrywa, i pewnie myśli, że ktoś go słucha.

- Wszyscy słuchają, wszyscy – pierwszy raz zaśmiał się półgłosem – bo za bilety zapłacili.

- Może ja też spróbuję – przytknęła trąbkę do warg, ale poza uduszonym charkotem nic więcej z niej wydymać nie mogła. Poczula jego dłonie przesuwające się po ramionach.

- Ej, ty, koleś z orkiestry wydętej, weź te pazurki i wsadź do rurki. – Śmiała się. – Nie myśl, że mam po

tatusiu słabowitość do muzykantów, choć na ślubnego Najjaśniejszy artystę mi przydzielił.

- Ale damskie miechy masz bez słabości, nic nie ujmuje innym panienkom.

- Mój Zeneczek powiadał, że te moje cyce, to dla niego najpiękniejszy akordeon na świecie, i jeśli na nim nie pogra, to żaden inny mu nie stroi. Tak, nie stroi. Do muzycznej duszy się wypowiadam i na inne domysłunki życzenia nie mam. A Zenek, jak w artystycznej robocie się nie udzielił, to nic mu się nie składało ani w rękach, ani w głowie. Gdy ten jego szczupak zaczynał go kąsać, wtedy pochrapywał przez wyschnięty gardziół: „Odrobinę szczęścia w miłości...”, bo na mojej harmoszce poćwiczyć była mu konieczność, a kroki tanga z figurami opracowane mieliśmy. „Potem stanąć serce przy sercu...” – kochanie i śpiew płynęły, jak srebrna rzeczka pełna złotych rybek. – Sięgnęła po źdźbło trawy, przesuwając je powoli po różowym ciastku wargi, z jednego kącika do drugiego, aż delikatnie musnęła zębami i zaczęła żuć powoli.

- Spróbuj jeszcze zagrać – powiedział – może się uda.

Przyjrzała się jeszcze trąbce. Dmuchiła najpierw delikatnie, potem mocniej, ale ta wciąż pozostawała tylko figurą poskręcanej blachy.

- Twarda jesteś, ja to lubię! – Rozpięła bluzkę, wcisnęła muzyczny przyrząd między masywne, duże piersi i całą zgromadzoną pod nimi kompresją chciała go zmusić do wydania czegoś więcej niż pierdzące beczenie, które – jak wiadomo – dochodzi od czasu do czasu z wojskowej latryny. Na próżno. Wciągnęła głęboki oddech. – Niedobrze siostrzo, niedobrze. Skąpisz babskiej duszy artystycznej radości, jakbyś tylko u tego jednego wyłącznie służyła. Ale nie myśl sobie, ja nie z takich, co byle żaby w ręce nie ścisnę. – Przemawiała do trąbki. – Takiego szpasu nie miałaś w żadnej orkiestrze, i mieć już nie będziesz. – Odetchnęła głęboko, stanęła pewnie na nogach, otrząsnęła rozluźniająco ramiona, odchyliła się lekko do tyłu i wsunęła trąbkę między nagie piersi, szerszą częścią do góry. Zanuciła jakieś para... para... di... ra... i tanecznym krokiem zaczęła chodzić wokół mężczyzny, który rozmazanym wzrokiem wodził za nią w zaskoczeniu, aż przytknęła. Zakręciła pirueta i stanęła przed nim zwiędła.

- Wenus z trąbką – zdołał powiedzieć półgłosem. Przyglądała mu się chwilę, jakby naznaczała

go niezwykłą nagrodą. Pochyliła się uśmiechnięta i instrument wsunął się w jego wyciągnięte dłonie. Spoglądała na przemian, to na kobietę, to na trąbkę, aż powiedział:

- Teraz to ona dla mnie więcej niż złota. Niezasłużenie tyle rozkoszy naraz nam przypadło.

- Nie myśl sobie, gościu, że jak przeżyć takich doznałeś, po których twoje smętne oczka jeszcze więcej koloru straciły, to dalej będzie jak na ślizgawce. O nie, łązęgo polna i światowa. Niedoczekanie twoje wytrąbione.

Grajek sięgnął po drugie jabłko, rozłamał i podał kobiecie.

- Dwie połówki, jak dwie cukrowki – zauważyła i zlizwała sok z warg. – Wygląda na to, że żyjesz tylko jabłkami i trąbieniem.

- Różnie ludziom w przeznaczeniach pisane. Jedni z walizkami od drzwi do drzwi wędrują, perfumę, mydło i grzebienie sprzedają, innych w fabryce pot czarny zalewa, a ja, o czym tu gadać, wszystko słysząc i widząc. Czasem dobra dusza nakarmi, inna przygarnie, w mieście na rogu z kapeluszem stanę. Ptakom nie muszę zazdrościć.

- Ptakom, mówisz, no niby faktycznie, racja. A i Wenus spotkać się zdarzy.

- Która trąbkę na złoto przetopi, że głowę człowiek straci razem z dmuchaniem i pojęcie mu odbierze w jaki sposób zagrać na takim skarbie.

- A przecież ludziom grania potrzeba, ono im dusze pompuje kolorowym powietrzem, choć tatusiowi nieszczęście w udział przypadło.

- Przeróżnymi drogami Bóg wędrować wyznacza, on wie, gdzie iść należy. – Zamyślił się, po raz któryś przełożył trąbkę z jednej strony na drugą, sprawdzając ile w niej złocistości przybyło. – Kiedyś za miastem pogrzeb mnie minął. Obcy, ani bogaty, ani biedny. Oddalili się, a ja wtedy pomyślałem: „Nie znam gościa, który żalobnikom czas w środku dnia zabiera, ale to przecież człowiek, może też lubił granie?” Zawróciłem. Gdy dół łykał trumnę, zagrałem. Ludziska spojrzwały zaskoczone, a ja pod drzewem z metalem ku niebu, w skrzydła grałem tamtemu, żeby mu lżej było do góry się wspinać. Słuchali, to jeszcze drugi i trzeci kawałek poleciał. Nie skąpiłem. Dmuchałem w przejściu takim, że wkrótce tylko nowy nieboszczyk i ja zostaliśmy na tym miejscu marność ziemskiej. Przy bramie podeszła młoda osoba i zapytuje, kto mnie zamówił?

On, pokazałem do góry. Była siostrą powołanego na Ostateczną Rozprawę Sądową, który mocno cierpiał w chorobie. Za uciechę, co mu zrobiłem dla ulgi duszy, obiadem poczęstowała. Potem przez parę miesięcy wsiadaliśmy na rowery i wyjeżdżali w pola. Ja grałem a ona śpiewała. Miała ładny głos.



Rys. Jacek Pałucha

Milczeli. W tym kinie, co było przed nimi, pokazywali obrazek z rozmałym malinowo horyzontem, ku któremu zsuwało się, jak do wodopoju, utrudzone słońce sierpnia.

- Może warto wypróbować instrument – powiedziała po dłuższej chwili – który złotem stał się za pomocą damskiej fatygi, i to jeszcze, czy on się aby z tego wszystkiego nie scharapiał, no, nie popsuł? – Mężczyzna dalej milczał, jakby onieśmielony wszystkimi skarbami, które mu przypadły, więc zanuciła cicho: „Odrobinę szczęścia w miłości, odrobinę serca czyjegoś...”

Ocknął się, zwilżył wargi, przyłożył do nich trąbkę, lewą dłonią zakrył otwór, z którego wydobywa się głos i zagrał. Tak ledwie, ledwie. Tak cicho, jakby to, co dało się słyszeć, dochodziło z samego środka, z najważniejszej skrytki człowieczej.

- Tak właśnie gra najbardziej złota trąbka – powiedziała półgłosem. Przysunęła się bliżej i powoli zaczęła rozpinąć guziki jego zielonej koszuli. W oddali narastał szum pociągu, by wkrótce powoli zniknąć. – Towarowy – powiedziała do siebie i wyłuskała następną guzik.

Janusz Mielczarek



Aleksander Wierny

I stanie się spokój

(fragment większej całości)

Igor kupił żyłetkę i zabrał ją na zakupy do supermarketu. Najpierw, żeby nie krążyć po hali z pustym koszykiem, wypełnił go winem i chlebem, potem zaczął szukać pierwszej ofiary. Wybrał mrożony groszek z marchewką. Przeciął torebkę od spodu i ostrożnie odłożył na miejsce. Zaczaił się obok półki z przyprawami. Brodaty mężczyzna w czarnym płaszczu wyglądał na roztargnionego, ale zareagował bardzo szybko. Zanim wrzucił torebkę do koszyka, zauważył wypływający z niej pomarańczowo-zielony strumień. Rozejrzał się nerwowo, odłożył pakunek i uciekł. Kobieta, której towarzyszyła kilkuletnia dziewczynka, rozsypała warzywa na podłogę i natychmiast zrobiła awanturę obsłudze.

Igor ciął jak opętany, pchając przed sobą wózek wypełnionym tylko chlebem i winem. Chipsy, mrożonki, opakowane w folię mięso, jogurty, jedzenie dla psów w plastikowych workach, ciąż chusteczki higieniczne, podpaski, t-shirty, spodnie, koszule, kołdry, poduszki. Opakowania tak łatwo się niszczą. Potem kupił coca-cole i strzykawkę. Robił zastrzyki wszystkiemu, co dało się ukłuć. Wszystkiemu, co dało się zjeść. Kłuł też miękkie przedmioty niejadalne, nawet opony rowerów. Po zastrzyku z brązowej cieczy rzecz stawała się brzydka. Nie dało się jej sprzedać. Była nieużyteczna, wypadła z obiegu. Po każdej iniekcji wydawało mu się, że jest lżejszy, że wędrując wzdłuż niekończących się półek odnalazł swoją drogę. W ślad za nim podążała jasnowłosa kobieta, ale pogrążony w amoku Igor nie zauważył jej.

Następnego dnia po ataku na supermarket usiadł pod Urzędem na ławce. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Urzędu, stał czteropiętrowy budynek. Przed nim rozpościerał się otoczony przez żywopłot skwer. Zza wątlej chmury świeciło słońce. Na ławkach wokół skweru rozsiadło się kilka kobiet. Plotkowały i zerkwały na bawiące się w samym sercu skweru dzieci. Sercem tym była piaskownica. Chmura zniknęła. Przez żywopłot przedarły się dwa kudłate kundle i w samym środku piaskownicy orgiastycznie zwały się w kopulacji. Dzieci utworzyły wokół nich rozwrzeszczany krąg. Po kilkudziesięciu sekundach widowisko przerwały matki, które zaczęły odciągać maluchy.

Zasłaniały im oczy. Przez chwilę dwie kobiety ciągnęły w przeciwne strony wierzgającego chłopczyka, spojrzwały sobie w oczy i chwyciły dwoje innych dzieci. Zwierzęta dyszały. Malcy nie widzieli już tego, czego nie powinni jeszcze rozumieć, choć każdy z nich na swój sposób i tak będzie się musiał kiedyś dowiedzieć. Słońce znalazło schronienie za niewielką chmurą. Skwer opustoszał i tylko psy męczyły się rozmnażaniem. Skończyły i Igor został sam. Słońce znów znalazło miejsce na niebie. Zgasił papierosa i ruszył powoli w stronę domu. Bóg, Absolut, Satori, czyli jednocześnie Najważniejsza Prawda o Mnie, Ostateczny Fundament Tożsamości, jeśli istnieje, jest tylko jeden (jedna, jedno) – myślał po drodze Igor. Inaczej istniałoby coś, co je (go) ogranicza, a przecież istotą tego jest nieskończoność. Objawia się wszak nie tylko we mnie, w Igorze, ale także w Rabbicie, we wszystkich mieszkańcach Miasta, we wszystkich mieszkańcach wszystkich miast, zmarłych i jeszcze nie narodzonych. W przeciwnym razie nie miałyby wymiaru absolutnego. Zatem objawia się na nieskończenie wiele sposobów. W każdym fragmencie swojego istnienia musi być czymś innym i zmieniać się nieustannie. Każdemu objawia się w inny sposób. Wypełniając do granic własną skończoność, docierając do granic swoich ograniczeń nie osiągnę nic poza frustracją i zmęczeniem, jestem i będę sam. Nikogo ze mną nie będzie, nikt mi nie pomoże. Jakiej mądrości trzeba, żeby się z tym pogodzić? Jakiej wiedzy?

Wąchał gin i rzygał w ubikacjach fast foodów. Zapach przetrawionego alkoholem jałowca nie zawiódł go od dziesięciu lat. Wystarczył jeden haust, żeby pozbyć się zawartości żołądka. Dziesięć lat temu wypił za dużo ginu w luksusowym górskim pensjonacie. Towarzyszyli mu sami starsi, bogaci mężczyźni z dostatnimi kobietami. Igor dorabiał w wakacje jako kelner, a ich firma zorganizowała tam szkolenie. Ostatniego dnia, w nagrodę za sprawną obsługę, pozwolili mu na chwilę zapomnieć, że jest najemnym pracownikiem odpowiedzialnym za wygodę. Łał w siebie gin jak równy z równymi. Lekarze odtruwali organizm Igora przez dwa następne dni.

Pizza, kurczak, albo bułka z mięsem. Plastikowe tacki. Wyprasowane mundurki sprzedawców z przypiętymi plakietkami, z których można się dowiedzieć, jak mają na imię. Dzięki temu przestają być anonimowi. Marie i Magdaleny. Zawsze się uśmiechają, więc i on uśmiechał się do nich. Chrom odbijający się w czystych blatach stolików. Przechypane łazienki z mydłem w płynie. Nażerał się, pchał w siebie tyle, ile tylko mógł. Pierśiówka z ginem cierpliwie czekała na swoją kolej.

Szedł do toalety, siadał na sedesie. Odkręcał butelkę i wolno przesuwał ją przed nozdrzami. Czuł, jak rośnie w nim złość, gniew, który próbuje się uwolnić. Pozwalał na to, rzygał na wyszorowane, niebieskie kafelki. Zostawiał po sobie ślad. Wychodził czysty i lekki, tanecznym krokiem. Uśmiechał się na pożegnanie do każdej Marii, do każdej Magdaleny.

Szef kazał Igorowi przygotować przetarg na działkę położoną w centrum miasta. Igor uzgadniał ze wskazaną przez niego firmą warunki, bo właśnie ta firma miała wygrać oficjalnie rozpisany przetarg. Igor pracował w Urzędzie dlatego, że bezbłędnie potrafił załatwiać takie sprawy, choć na początku nawet nie umiał poprawnie rozłożyć mapy geodezyjnej, nie znał żadnych przepisów. Ale szybko się uczył, bo zrozumiał, że jego praca polega tak naprawdę na dopasowaniu możliwości do biurokratycznych procedur. Rzeczywistości do indywidualnych potrzeb. Szef mógł na nim polegać. Igor nigdy nie chciał wiedzieć o poleconych firmach nic poza tym, że wzbogacą szefa i że wzbogacą nie opodatkowanym zyskiem również jego. Taka była niepisana procedura, równie trwała, co wszystkie oficjalne, powszechnie znane i zadekretowane zakazy i nakazy. Po to tam byli. Ile mógł tym razem zarobić? Szef dostanie od piętnastu do trzydziestu procent wartości działki. Igor dostanie jedną trzecią jego części. Kupi nowy samochód. Negocjacje z firmą przebiegły sprawnie, Igor tylko raz, na samym początku, kilka tygodni temu, musiał się spotkać z jasnowłosą kobietą o nienaturalnie proporcjonalnym ciele. Wieczorem, po ostatecznym zatwierdzeniu warunków przetargu, palił i pił z Rabbitem, który tego samego dnia stoczył hackerską bitwę. Wróg próbował przez internet przejąć kontrolę nad serwerem, którym Rabbit opiekował się za ciężkie pieniądze. Rabbit pokonał go bez trudu, ale swojemu pracodawcy powiedział, że walka była długa i wyrównana. Dostał podwyżkę. Wrogiem był wirus świeżo stworzony przez Rabbita. Palili do trzeciej w nocy i pili nieco więcej, niż zwykle. Nazajutrz kac był tym potworniejszy, że Igorowi zabrakło papierosów. Poszedł do kiosku. Młody bóg szczyrzył do niego z billboardu kilkumetrowe, śnieżnobiałe zęby i zapewniał, że biel prawie nic nie kosztuje, jeśli używa się tej samej pasty, co on. Igor kupił też gazetę i przeglądał ją po drodze. Z ostatniej strony znów zaatakowały go przeczyste kły. W domu włączył telewizor. Kłapał zdradziecko białymi zębami. Ktoś zapukał do drzwi.

Aleksander Wierny

Janusz Piernikarski

Rzecz o naukowcu

Scena 1

Gabinet Profesora. Biurko zawałone papierami, stolik z naczyniami laboratoryjnymi, z tyłu mapa Polski. Profesor za biurkiem.

Profesor: Co za życie prowadzę! Nic, tylko chodzę na zebrania różnych popaprańców i wędzę się w tytoniowym dymie, prowadząc ciągle, jednostajne rozmowy o tym, jak to wydziałowi na wszystko brakuje forsy i jak docent Taka Owaka znowu ma operację kolana. Albo próbuję coś wbić do łbów bandzie chłystków, których interesuje tylko, gdzie jest tańsze piwo i jak obrazić policjanta, żeby potem nie bulić. Albo piszę artykuły, uważając przy tym, żeby cytować tych kolegów, co trza, bo jak przytoczę jednych, to plagiat, a jak drugich, to nepotyzm. Potrzebna mi odmiana... Co zrobić? Z alkoholem próbowałem, ale za wiele mam do stracenia. Wiem! Zostanę szalonym geniuszem zbrodni!

Wyjmuje okulary z futerału leżącego na biurku, przeciera połą marynarki i zakłada. Przyjmuje monumentalną pozę.

Profesor: Oto nadszedł dzień, kiedy naukowiec, jakich wiele, postanowił przerwać zaklęty krąg egzystencji akademickiej i... Zapanować nad światem! (*namyśla się*) Nie, za duża działka. Nie dam rady... Zapanować nad Polską! (*znów się namyśla*) Eee, do tego jest już cała kolejka szalonych, niekoniecznie naukowców. (*przez chwilę ogląda mapę*) ...zapanować nad Częstochową! HAHHAHAHA!!!!

Scena 2

Wydział Elektryczny Politechniki Częstochowskiej. Pomieszczenie zapełnione urządzeniami o wyglądzie strasznym dla laika. Pośrodku konsola wskaźnikowa. Wchodzi Dziekan i Profesor.

Dziekan: No, panie profesorze, z nieba pan nam spadł! Ledwo zrobił się wakat na stanowisku starszego wykładowcy, a już się pan zjawił. Komuś takiemu warto i w niedzielę pokazywać infrastrukturę.



Profesor: Potrafię wypatrzeć okazję, panie dziekanie. Tu będę pracować?

Dziekan: Tak, choć to trochę niewdzięczne stanowisko, bo na wiosnę chodzą tędy wycieczki ze szkół średnich. Ale do wiosny daleko, a w razie czego niech pan ich elektrowstrząsami...

Profesor (*spogląda na konsolę*): Co to ma znaczyć? Chyba napięcie przekracza dopuszczalny poziom.

Dziekan: Pozwoli pan, że spojrzę (*nachyla się do konsoli*)

Wchodzi Wiaczesław.

Dziekan: Nie, to się panu pewnie przywidziało. Napięcie w normie...

Wiaczesław uderza go pałką w głowę. Dziekan osuwa się na ziemię.

Profesor: Brawo, Wiaczesławie. Zawsze uważałem cię za sprawnego asystenta.

Wiaczesław: Racja, profesorze. Marnowałbym się tylko w tych Czeboksarach.

Profesor: A teraz pomożesz mi zawładnąć Częstochową! Kwaterę główną urządzimy tu, na Wydziale Elektrycznym. Całe miasto pozna mój gniew!



Rys. Jacek Pałucha

Scena 3

Posterunek policji. Komendant za biurkiem, Aspirant przy drugim (pracuje na komputerze), Posterunkowy szwenda się.

Komendant: Dzwonili ze skargą, że niedaleko odbywa się libacja. Może byście skoczyli zrobić porządek?

Posterunkowy: Możemy, czemu nie.

Gaśnie światło.

Komendant: Cholera! Nie ma pieniędzy, nie ma amunicji, nie ma wykrytych przestępstw, a teraz jeszcze nie ma prądu.

Aspirant: Ja nie chcę nic insynuować, ale dobrze byłoby wreszcie zapłacić za światło.

Telefon.

Posterunkowy: Dzwoni elektrownia! Nie wiedzą czemu, ale na całym Tysiącleciu nie ma prądu!

Komendant: Niech pošlą pogotowie energetyczne, czego nam głowę zawracają?

Posterunkowy: Pogotowie jest bezradne. (*znów telefon*) Zgasało światło na całej Północy z wyjątkiem jednostki A!

Aspirant: Jak to, na Tysiącleciu i na prawie całej Północy światła nie ma, a w jednostce A, pomiędzy obiema strefami akurat jest?!

Komendant: Może na A mają nielegalną elektrownię. Trzeba sprawdzić.

Telefon.

Posterunkowy: Zabrakło prądu na Stradomiu, Rakowie i ulicy Siedmiu Kamienic! (*Kolejny dzwonek*) Teraz Aleje od Placu Daszyńskiego do Biegańskiego, Parkitka i pół Trzech Wieszców!

Aspirant: Co to ma znaczyć? Radio samo się włączyło!

Głos z radia (Profesor): Witajcie, przyszli poddani! Jestem geniuszem zbrodni i od tej pory przejmuję kontrolę nad Częstochową. Te awarie to moja sprawka. Jestem zdolny do wszystkiego, więc bądźcie posłuszni, bo to dopiero początek! Życzę sobie zaliczkę, 20 tysięcy złotych w używanych banknotach. Ma zostać dostarczona dokładnie za 24 godziny na wysepkę na Jana Pawła przy skrzyżowaniu z Kilińskiego. Tylko bez żadnych sztuczek, bo pożałujecie. HAHHA!!!

Komendant: Chyba mamy w mieście szalonego naukowca. To zadanie dla służb specjalnych.

Scena 4

Knajpa. Przy stoliku siedzą z kufkami dwaj studenci. Wchodzi Agent z ulizaną fryzurą i sumiastymi wąsami, odziany w długi skórzany płaszcz, oraz Agentka w obcisłym kombinezonie, również skórzanym.

Agentka: Trzeba zlokalizować kryjówkę obiektu. Wiesz, jak to zrobić?

Agent: Mam pewien pogląd na tę sprawę. Najlepiej przeprowadzić wywiad środowiskowy.

Podchodzą do studentów.

Agent: Dzień dobry panom.

Student I: Nic nie zrobiłem!

Agentka: My nie w tej sprawie.



Student II: No to o co chodzi?

Agent: Jesteśmy tajni agenci. Podobno macie tu problemy z szalonymi naukowcami?

Student I: Jeszcze jakie! Jeden nie lubi facetów i wszystkim daje 3 z egzaminu, a laski ocenia na 4 i 5.

Student II: Nie, ten nie jest najgorszy. Znam takiego, co na każdym wykładzie opowiada o spalonym czajniku. Zwariować idzie!

Agent: Czy zauważyliście coś naprawdę podejrzanego?

Student II: Znaczący niby co?

Agentka: Nie rzucił wam się w oczy przykład szczególnego szaleństwa?

Student I: Szczególnego?! Oni wszyscy kompletnie powariowali! Człowieka rano łeb boli, a oni chcą nie dość, że bym się uczył, ale jeszcze że bym był aktywny na zajęciach. Chyba im niezłe przygrzało!

Agentka (do Agenty): Jesteśmy na tropie. Trzeba przeprowadzić dokładniejsze rozpoznanie.

Agent: Więc chodźmy stąd.

Wychodzi Agent i Agentka.

Student I: Czego to ta Komisja Akredytacyjna nie wymyśli...

Scena 5

Siedziba Profesora. Profesor i Wiaczesław.

Profesor: Jak widzisz, moje umiejętności przynoszą efekty. Uruchomiłem program sieciowy, instalujący pornografię na wszystkich komputerach w Urzędzie Miasta.

Wiaczesław (pokazuje jakieś urządzenie): Co to takiego?

Profesor: Mój najnowszy wynalazek: blokada przednich drzwi w autobusach. Jeśli przez nieotwieranie pozostałych tyle zarobili, to pomyśl, ile będzie kasy, kiedy żadne drzwi nie będą się otwierać!

Wiaczesław: No tak, ale pieniądze tak czy inaczej trafią do MZK, a nie do pana, profesorze.

Profesor: Tu się mylisz! MZK już rozpracowałem i wszystkie ich dochody trafiają do mnie. Aha, nie zapominajmy o kadrach. Potrzebuję tajnych współpracowników. Zajmij się tym.

Wiaczesław: Z przyjemnością! Rozpocznę werbunek nie tylko na Politechnice, ale też w Akademii Polonijnej, Wyższej Szkole Ekonomii i Zarządzania, Centralnej Szkole Państwowej Straży Pożarnej oraz w Akademii im. Jana Długosza!

Profesor: Nie zapomnij o WSP.

Wiaczesław: Nie ma już WSP w Częstochowie.

Profesor: Doprawdy? Żal... Gdy zbierzesz pierwszą partię współpracowników, mam dla ciebie kolejne zadania. Chodzi mi po głowie taka wunderwaffe: krzyżówka człowieka z gąsiorem!

Wiaczesław: Czemu akurat z gąsiorem?

Profesor: W tym projekcie inne ptaki mogą być zbyt niebezpieczne.

Wiaczesław: A co z tymi... no... z Jasną Górą i w ogóle?

Profesor: Tu będzie ciężko. To naprawdę godny przeciwnik. Ale i na nich coś wymyśliłem. O, kolaborant. *Wchodzi Docent.*

Profesor: Jak tam, panie docencie, przygotowania do naszego planu? Drukarnia w piwnicy działa?

Docent: Dziś wydrukowałem 1238 koncesji na handel alkoholem.

Profesor: Wyśmienicie! Wkrótce Częstochowa pod względem liczby sklepów monopolowych przegoni nie tylko Szwecję, ale i Białoruś! HAHHAHAHA!!!!

Scena 6

Korytarz na Wydziale Elektrycznym. Agent i Agentka.

Agentka: Jak się domyśliłeś, że to tu?

Agent: Bo studenci Wydziału Elektrycznego Politechniki siadają po knajpach nawet wtedy, jak reszta jest na zajęciach. Więc na wydziale nie ma zajęć. Więc jest zamknięty.

Agentka: Jaki z tego wniosek?

Agent: Że naukowiec jest tutaj.

Agentka: Myślałam, że zwróciłeś uwagę na to, iż nawet gdy w całym mieście brakowało prądu, to w oknach wydziału zawsze paliło się światło.

Agent: Nieważne, jak do tego doszłem. Teraz trzeba się za niego wziać, bo jeszcze może solidnie naszkudzić.*

Agentka: Bądźmy ostrożni. Tu może być pełno pułapek.

Agent: Jak ten naukowiec jest rzeczywiście taki silny, to tu na pewno jest niebezpiecznie.

Podchodzą do zamkniętych drzwi.

Agent: Trzeba sprawdzić tę salę.

Agentka: Ja otworzę. *(wyjmuje wytrych i chwilę majstruje przy zamku)* Gotowe.

Otwiera drzwi. Zza nich wyskakuje Goryl i rzuca się na Agentkę.

Agentka: Ratunku! Goryl! Był gotów na nasze przyjęcie!



Agent: Gotów czy nie, już ja go złapę!*

Zrzuca płaszcz, chwytą Goryla za bary i odciąga od Agentki. Goryl zwraca się przeciwko Agentowi. Przez dłuższą chwilę tarmoszą się. Goryl zdobywa przewagę i zaczyna tłuc głową Agentę o gablotę z napisem „PUBLIKACJE PRACOWNIKÓW”.

Agent: Co tak stoisz?! Mogłabyś mi pomóc!*

Agentka: Nie znam się na zwalczaniu goryli!

Agent: Są podatne na piwo! Daj mu dziesięciopak!

Agentka: Nie mam!

Agent: Nie wzięłaś dziesięciopaka? Co z ciebie za tajna agentka?!

Goryl przyciśnięta Agentę do podłogi.

Agentka (wyjmuje krótkofalówkę): Wesoły Andrzej! Powtarzam, wesoły Andrzej!

Wpada Biały Niedźwiedź i rzuca się na Goryla. Zmagają się przez chwilę. Wreszcie Goryl pada zmęczony.

Niedźwiedź (mówi do nadgarstka): Centrala, tu „Podhalanin”. Zadanie wykonane. Bez odbioru.

Zdejmuje sobie głowę – jest to facet przebrany za białego niedźwiedzia.

Agentka: Dziękujemy panu, agencie specjalny. Nie wiem, jakby my sobie bez pana poradzieli.*

Niedźwiedź: Drobiazg. Po to jestem, żeby czasem pomóc, znaczy pomóc. A teraz wybaczcie, pójdę w Aleje. Trzeba zdobywać fundusze dla resortu. (Zakłada głowę z powrotem i wychodzi)

Agentka: Naprzód. On musi gdzieś tu być.

Scena 7

Kwatera główna Profesora, który chodzi od jednego urzędnika do drugiego.

Profesor: Wszystko zgodnie z planem. Miasto okazało się przygotowane na mój atak mniej więcej tak samo, jak na atak zimy. Nawet nie zebrali 20 patyków w gotówce, przysłali mi przekazem. Za to prawie wszystko mam zinfiltrowane. Prawie... bo co na przykład ze środowiskami twórczymi? Może wprowadzić na rynek zatrutą wódkę? Zbyt prymitywne. Trzeba wymyślić coś innego. Zresztą nie popadajmy w metodologiczną jednorodność, z dziedziny intoksykacji wystarczy system rozprzestrzeniający środki halucynogenne w pokojach nauczycielskich. (podnosi coś ze stołu) Co za użyteczny sprzęt: procesor zmiany barwy głosu. Nic, tylko dzwonić do najwyższych władz miasta z obelgami, podając się za głównych



Rys. Jacek Palucha

przedsiębiorców... Tak. To jest pomysł.

Wpada Agent i Agentka.

Agentka: Czy to pan jest zbrodniczym szalonym naukowcem?

Profesor: Tak, to ja. A wyście co za jedni i kto was tu wpuścił?!

Agent: Przyszliśmy po ciebie!

Profesor: Nie mówi się „przyszliśmy”, tylko „przyszliśmy”, dlatego, że forma ta pochodzi od staropolskiego „przyszli jesmy”, natomiast dawne słowo „jesmy” znaczy tyle, co „jesteśmy”. Proszę porównać z cerkiewnosłowiańskim.

Agent: Dobra, dobra, profesorku. Przestań sobie stroić jaja.

Profesor: Można „robić jaja” albo „stroić żarty”, albo nawet „robić żarty”, ale „stroić jaja” – nigdy! Takiego wyrażenia nie ma. To kontaminacja dwóch związków frazeologicznych.

Agent: Patrzcie, jaki znawca! Zaraz mi chabcie spadną!

Profesor: Nie mówi się „chabcie”, tylko „kabcie”. „Chabcie” to jest regionalizm częstochowski. Swoją drogą, wcale nie ma pan kapti, tylko półbuty.

Agent: Więc może przyjdę innym razem... (wychodzi)

Agentka: Hej, co robisz! Nie zostawiaj mnie samej z tym szaleńcem!

Profesor: Teraz się rozprawimy z panią tajną agentką. *Spada mu na głowę niewidoczna dotąd gumowa ośmiornica, którą Profesor obojętnie odrzuca na bok. Podchodzi do Agentki, chwytą ją i przywiązuje skórzanymi pasami do ściany.*

Agentka: Co teraz? Zamierza pan mnie zgwałcić?

Profesor: Skądże znowu! Najpierw musiałyby pani przebyć jakąś dietę. Po prostu zrobię z pani królika doświadczalnego.

Agentka: Królika?!

Profesor: Powiniennem powiedzieć „żabę doświadczalną”, ale to byłoby rozbicie związku frazeologicznego, nieprawdaż? W każdym razie przeprowadzę doświadczenie z galwanizacji. *(bierze dwie elektrody)* Banał, ale na człowieku jeszcze nie próbowałem, a poza tym nagram to dla studentów, by nie próbowali w domu. Wiaczesław! Chodź tu z kamerą!

Wchodzi Wiaczesław, niosąc w jednej ręce kamerę, w drugiej plik kopert.

Wiaczesław: Na nasz teren zapuścił się nieostrożny listonosz. Jeden list jest nawet do pana.

Profesor: Też znalazłeś moment... Od kogo?

Wiaczesław: Z naszej uczelni.

Profesor: Pokaż! *(czyta list)* Niesłychane! Otrzymałem podwyżkę, premię, dodatek naukowy i jeszcze europejskie stypendium na cele badawcze!

Agentka: Nad czym pan pracuje i dla kogo?!

Profesor: Dla kogo, to sam czasem wolę zapomnieć. Obecnie prowadzę badania terenowe z dziedziny socjologii... *(zagląda do listu)* „Funkcjonowanie społeczeństwa miasta średniej wielkości w warunkach działalności szalonego naukowca”! Zatem moja obecność tutaj jest całkowicie usprawiedliwiona i pani niedouczony kolega tylko marnował czas.

Agentka: A co ze mną?

Profesor: Jak wspomniałem, będziemy panią galwanizować ku przestrodze potomnym. Wiaczesław, dawaj elektrody!

Kurtyna

J. Piernikarski

*P.S. * Niektóre wyrazy - błędnie wypowiedziane - zobacz dalej w tekście.*

Anna Purska

Nowy wspaniały świat?

Aldousa Huxleya /1894 – 1963/ światowej sławy pisarza angielskiego nie trzeba dziś nikomu przedstawiać. Znany jest przede wszystkim jako twórca największej utopii negatywnej XX wieku – „Nowego wspaniałego świata”. Utopii, której idealny świat został całkowicie poddany kontroli nauki.

„Brave New World” ukazał się w 1932 r. i przyniósł jego autorowi olbrzymi rozgłos. Tymczasem od ośmiu lat istniało już „Miasto Światłości” Mieczysława Smolarskiego, jednego z pionierów polskiej fantastyki naukowej.

„Nowy wspaniały świat” w całym zarysie świata przyszłego jak i w niezliczonych szczegółach okazał się być uderzająco podobny do „Miasta Światłości”. Dotknijmy podobieństw najbardziej istotnych.

Zarówno Smolarski jak i Huxley przedstawili obraz dwu społeczeństw po wielkim kataklizmie – wojnie, która zniszczyła świat. Ludzie, którzy ocalili, żyją w twardych warunkach natury. Rodzą się, starzeją i umierają. Cierpią choroby i głód. Po dawnemu zachowali małżeństwo, rodzinę, religię, kult przodków, obrzędy, zwyczaje i, jakkolwiek życie ich jest niezwykle trudne, cnota i moralność mają tu swoją wartość.

I istnieje też tonące w wygodach i bogactwie, korzystające z najcudowniejszych postępów cywilizacji, Miasto Światłości lub Nowy Wspaniały Świat. Te supernowoczesne metropolie odgradzone są od „dzikich” u Smolarskiego „zaporą” czy „zamknięciem elektrycznym”, u Huxleya „parkanem z drutów wysokiego napięcia”. Identyczny jest pejzaż owych Światów. Tworzą go kilkudziesięciopiętrowe kolosy zaludnione przez dziesiątki tysięcy mieszkańców. Powszechnym środkiem komunikacji są pojazdy startujące z dachów.

Na czele owego Miasta czy Świata, którego narody dla uniknięcia wojny zjednoczyły się w Stany Zjednoczone, stoi Wielki Mag u Smolarskiego, a Kierownik u Huxleya.

Dominująca rola techniki i jej możliwości idą w parze z rozwojem medycyny, którą i tu i tam doprowadzono do perfekcji. Zlikwidowano choroby, ludzie nie starzeją się, mogą i pragną życie swoje przedłużyć w nieskończoność. W Mieście Światłości nikt się od dwudziestu lat nie urodził, u Huxleya ludzi hoduje się w laboratoriach żyworództwo pozostawiając



„barbarzyńcom”. Kobiety są bądź wykastrowane bądź używają środków antykoncepcyjnych.

Zarówno w Mieście Światłości jak i w Nowym Świecie miłość, przyjaźń i poświęcenie są wysoce niepożądane. Drgnienia serca ludzie ukrywają, by nie wydać się na pośmiewisko. W Świecie, gdzie każdy należy do każdego bez jakichkolwiek zobowiązań uczuciowych zwalczą się surowo nawet dłużej trwające znajomości oceniając je jako nieprzyzwoite.

I tu i tam literaci wzgardzili treścią. U Smolarskiego forma doszła do stanu oddawania obrazów dźwiękami. „Poszukiwaczami śladów dźwięku” nazywa Huxley swoich pisarzy, a jego Kierownik Świata mówi: „Należało dokonać wyboru pomiędzy szczęściem a Wielką Sztuką. Poświęciliśmy Sztukę.”

Do czego dążą, jakie mają cele i marzenia przyszli ludzie?

Warunkiem szczęścia w Mieście Światłości jest zasada użycia. Także w Nowym Świecie wiele czyniono, by zmniejszyć znaczenie prawdy i piękna, a zwiększyć wartość dobrobytu. „Ogólne szczęście – mówi Kierownik – naoliwia i kręci koła świata. Prawda i piękno nie mogą tego uczynić.” I jeszcze: „Ludzie są szczęśliwi: odżywieni, bezpieczni, nie podlegają chorobom, nie boją się śmierci, nie znają ojców i matek, nie mają żon i dzieci, do których mogliby żywić mocniejsze uczucia.” Ideałem Nowego Świata są ludzie wyprani z wszelkiej osobowości, z własnego „ja”, pozbawieni własnego zdania.

W Mieście Światłości ideałem jest przeciętność. „Niech żyje przeciętność!” – oto jedno z jego hasła.

I tu i tam poddano wszystkim reżimowi powszechnego zadowolenia połączonego raz na zawsze z niewolą osobistą, przysposobieniem i przypisaniem do określonych zadań w społeczeństwie. Jeden z mieszkańców Miasta zauważa: „Ludzkość doprowadzona jest do takiego stanu, iż zostaje jej tylko umrzeć z nudów.”

Mimo ogólnego dobrobytu ludzie nie czują się jednak w pełni szczęśliwi. W Mieście Światłości w sytuacjach trudnych popija się w zależności od potrzeby napoje spokoju, rozkoszy lub radości /dodajmy: odpowiednik dzisiejszych narkotyków/. Także w Nowym Świecie ratuje ludzi tzw. soma niosąca podniecie, zapomnienie lub rozkoszne wizje. Soma łagodzi gniew, jedna z nieprzyjaciółmi, przynosi cierpliwość i wytrwałość. Dawniej dochodziło się do tego wielkim wysiłkiem woli i po latach ciężkich ćwiczeń moralnych.

Soma jest także surogatem uczuć religijnych i jako taka używana bywa podczas nabożeństw. Zarówno bowiem u Smolarskiego jak i u Huxleya odprawia się pewne uroczystości. W Mieście Światłości, w świetle

barwy krwi, kilkaset współobnażonych dziewcząt tańczy i śpiewa pieśń ku czci bogini Astarte. Panuje atmosfera transu religijnego, upojenia napojami odurzającymi, wiokiem śmierci ofiarnego zwierzęcia. W Nowym Świecie odbywają się Nabożeństwa Ogólnej Solidarności. Ich uczestnicy podnieceni są tańczą i śpiewają. Światła zmieniają barwę na coraz czerwienią aż wreszcie przybiera ona kolor krwi. Ludzie padają na ustawione półkolistce tapczany.

Niezdrowe pragnienia ludzi objawiają się i tu i tam podobnym zezwierzęceniem. „Dlaczego przelewaliście znowu krew na scenie?” – zapyta u Smolarskiego Wielki Mag. Tancerka zgięła się: „Publiczność zażądała tego, panie. Mówią, że zbyt monotonne są nasze obchody.”

W Nowym Wspaniałym Świecie rozhisteryzowani ludzie cisną się po bicz Dzikiego. Objaw jest odmienny, ale tło psychologiczne to samo.

Ale ... któż to jest Dzikie? Wróćmy do wspomnianego na wstępie świata „barbarzyńców”. Otóż zarówno u Smolarskiego jak i u Huxleya żyje w nim pewien młodzieniec. Jest sierotą. Starzy ludzie opowiadają mu o przeszłości, uczą pracy, wyjawiają tajemnicę elektryczności. Drugim jego wychowawcą jest samo twarde życie, praca i surowe obyczaje moralne ludzi, wśród których mieszka.

U Smolarskiego jego opiekun, mnich, znalazł kilka książek z powydzieranymi kartkami, z których chłopak chłonie wiedzę o przeszłości. Także młody człowiek u Huxleya dostał starą, zniszczoną książkę. Były to „Pisma zebrane” Szekspira. Stały się one jego biblią, trwałym kodeksem wartości.

Młodzieniec, który u Smolarskiego nazywa się Andrzej, a John u Huxleya, dowiaduje się o istnieniu „cudownego miasta”. W najcięższych warunkach bytu marzy o nim, tęskni doń i wbrew prawdopodobieństwu przedostaje się tam.

I oto traci wszelki podziw i zainteresowanie dla tej wspaniałej cywilizacji, gdzie geniusz ludzki doszedł szczytów, ale ludzie są egoistami bez serca.

Także miłość, jaka rodzi się pomiędzy Andrzejem a Mają lub Johnem a Leniną, przynosi młodym mężczyznom bolesne rozczarowanie. Rozumieją ją oni poważniej od ukochanych. „Na zawsze! – wzdraga się u Smolarskiego Maja – Ależ nikt tego u nas nie widzi!” „Na zawsze? Czy to w ogóle możliwe? – odzywa się u Huxleya zgorszona Lenina – Co za okropny pomysł!”

Andrzej czuje się w tym wspaniałym świecie jak więzień zamknięty w cudownym pałacu. Przejmująco samotny zawoła w żalonym zwątpieniu: „O miasto wasze! Jakżeś mnie zawiodło!”

John, któremu zgodnie z instrukcją Kierownika, pokazano życie cywilizowane we wszystkich jego gałęziach wymiotuje z obrzydzenia, a jego „śpiewne słowa zabrzmią boleśnie”: „Nowy wspaniały świat!”

Zarówno więc u Smolarskiego jak i u Huxleya istnieje ten sam kontrast dwóch zupełnie odrębnych światów. Ta sama tęsknota, podróż, miłość i wątplenie w wartości cywilizacji Andrzeja i Johna.

Warto jeszcze dodać, że akcja „Miasta Światłości” ma swój koniec w wieży, również akcja „Nowego wspaniałego świata” kończy się w tym samym miejscu. Zbieżność porównywanych powieści, polskiego i angielskiego autora, jest niezaprzeczalna.

Anna Purska

Piotr Bartos

Marcowe opowiadanie (oparte na faktach, w tym prasowych i literackich)

Obudziłem się, stąd wiedziałem, że jest nowy dzień. Po nużącym tygodniu w pracy przyszła sobota. Marcowy dzień zachęcał do wyjścia na dwór. Rytualnie - można powiedzieć - spędzam soboty z synem. Poszliśmy do parku. Wznoszą się one (parki są dwa, choć na prawdę jedynie bardziej z nazwy) łagodnym spiętrzeniem. Między nimi jak i w nich znajdują się alejki-dróżki prowadzące w górę. Obszar ten z małym zagajnikiem kosodrzewiny okalającym drewnianą altanę, o trudnym do ustalenia stylu, ma w sobie echo atmosfery naturalnych terenów. Stale słychać tu śpiewy i krzykliwe nawoływanie ptactwa, a rekreacja pozwala zatopić się w odprężającym wpływie – choć skąpej - natury i jednocześnie w modlitewnym nastroju. Słychać bowiem nabożeństwo odbywające się na – zielonym latem - placu tuż obok. W tym uchodzącym za miasto miejscu raczej nie przyjęło się określenie błonia. Jakby było ono zbyt wyszukane dla mieszkańców na poły chłopskich na poły drobnomieszczańskich. Stąd w osadzie podklasztornej, zorientowanej na jego obsługę - niczym dawniej wobec zamków mieszkańcy osad pod nimi - największym mirem cieszą się przasne egzemplarze owego plebejskiego gatunku, najlepiej jeszcze jak najbardziej czerstwi - genetycznie niewymieszani.

Warunki do jazdy na sankach były wyjątkowe. Zachęcające słońce kusilo, choć jeszcze dość odległą, zapowiedzią kanikuły, topiąc skutecznie acz ledwo odczuwalnie lodową zimową obręcz. O marcu przypominały pary młodych. Śnieg nie padał, a wzgórek służący do zjazdów pokryty był idealną kilkucentymetrową warstwą ostatniej i jeszcze świeżej porcji puszystej bieli. Kilkoro dzieci wbiegało i zjeżdżało. A syn z przygodnym kolegą urządzili sobie mistrzostwa... Od pewnego czasu nie sposób było nie dostrzegać zniechęcających swym natręctwem Cyganek. A to dlatego, że pole widoczności absorbowały to z lewej, to znów z prawej strony. To ich wahadłowe wędrowanie powstało gdy usunięte za przyczyną policyjnego patrolu z głównej alejki między parkami, przechodziły na środkową w parku z altaną. Tutaj patrol straży miejskiej nie reagował na nie.

Świeżość powietrza została nagle podkopana piekącym gardło i przenikliwym, zjadliwym swądem palącego się papierosa. Przyczyną tego była kobieta już nieco więcej niż w średnim wieku. Ta szara osoba, jak zdecydowana większość kobiet w jej wieku, z typową dla tutejszych warunków nonszalancją, wciągała w siebie dym, po czym wypuszczając go z siebie niszczyła i zatruwała względną tu jeszcze rześką czystość atmosfery. Zdarza się, że czekając na pociąg czy autobus czuje się też ów bolesny uścisk gardła, powodowany wyzywającą beztróską i niewolniczym - acz lubym dla jego ofiary - nawykiem. Ale ma to także przecież miejsce w tutejszych obiektach publicznych.

Po zabawie ruszyliśmy w dół między parkami w stronę alei (specjalnie nie piszę *miasta*). Wcześniejsze dźwięki zastąpił hałaśliwy szum samochodów. Przez kilka długich minut pędzą one jak szalone, by na dwie trzy sekundy stanąć na wydzielonej dla pieszych chwili zielonych świateł. Z lewej strony, za hotelem, dojrzałem czerwony budynek, ładny ale robiący smutne wrażenie zaniedbania, opuszczonego domu kultury. Już w alejach uderza natomiast napastliwą jarmarczną brzydota małomiasteczkowe bezguście. Brniemy w brei. Znów po lewej stronie mijamy rozległy i zrujnowany aluminiowo-betonowy obiekt, oblepiony tandetnymi (sprośnymi estetycznie) banerami, niby-szyldami i takimiż reklamami.

Po wejściu w bramę spotkanie ze znajomym. Rozmowa schodzi na Muzeum Malarza. Męcę się jego gaworzeniem z quasi-argumentami ad absurdum.



To tutejszy typowy osadnik o doskonałej odporności na samodzielne myślenie... Idziemy z synem dalej.

K. wiedział, że nie grożono mu rzeczywistą przemocą, której się nie bał, zwłaszcza tutaj, ale bał się potęgi zniechęcającego otoczenia oraz przyzwyczajenia do rozczarowań...

K. gdyby doszło do walki, byłby na tyle śmiały, by walkę rozpętać...

Szedłem, rozmyślając już tylko i marząc o komforcie sytuacji pisarza, który może utrzymywać się wyłącznie z pisanie.

...jest pan człowiekiem obcym, ponadliczbowym, który wszędzie zawadza, człowiekiem, z powodu którego powstają ciągle kłopoty...

Mimo to, w duchu pocieszałem się jednak słowami oberżystki: *nie przeczę, że udaje się czasem osiągnąć coś, co sprzeciwia się regulaminowi i odwiecznym zwyczajom.*

Choć i *wójt*, zdaniem *nauczyciela*, był nadzwyczajnie dobry dla K.

Piotr Bartos

Zbislaw Janikowski

C Y R K

CYRK! - informowały rozklejone po mieście kolorowe afisze. Ówczesni spece od reklamy, bez wsparcia agencji reklamowych wiedzieli, jak rozbudzić zainteresowanie, jak sprzedać dobrze swoje widowisko. Najpierw zwiastun „cyrk”, potem „już wkrótce”, „już za trzy, za dwa dni”, i wreszcie „już jutro!”. Dopiero potem właściwy plakat, nazwa, program, miejsce i małymi literkami ceny biletów, żeby nie zrażać, wszak cena to tylko dodatek do widowiska. Wreszcie przez miasto przetaczały się, ciągnięte przez traktory, cyrkowe mieszkalne wozy i długie lory wyładowane elementami składanej konstrukcji, codzienne gazety informowały o tym na bieżąco. Wokół rozstawionego ogromnego, czteromasztowego namiotu rozbijało się cyrkowe obozowisko, a często również przewoźna menażeria. W dniach występów Alejami ciągnęła parada cyrkowców: kłowni, akrobaci, orkiestra na ustrojonej konnej platformie, piękne konie, mała, wielbłąd...

Atmosfera gęstniała, zapowiadane widowisko intrygowało. W szkole dyskutowaliśmy zawzięcie, omawiali wszystko: od rozładunku cyrkowych wozów na rampie kolejowej, przez rozstawienie namiotu, (starsi silni chłopcy zarabiali przy tym po kilka złotych), aż po pierwsze przedstawienie. Najważniejsi byli ci, co obejrzeni je jako pierwsi, ale najwyższą rangę osiągnęli szczęśliwcy, którzy byli kilka razy, a już bohaterem dnia, a nawet sezonu, zostawał delikwent wpuszczony bez biletu.

Początkowo cyrki gościły przy Kilińskiego, na placu pana Złoźnika - dziś kilkupiętrowy budynek mieszkalny, z brama przejściową do ul. Staszica. Miejsce było dobrze znane, bo w zimie funkcjonowała tam ślizgawka, czy jak kto woli, lodowisko. Z głośnika „leciała” modna muzyka, tanga, fokstroty, walce, z czarnych płyt, skrzeczących niemilosiernie pod zdartą patefonową igłą, a w oczy świeciły niczym nieosłonięte żarówki. Wróćmy jednak do cyrku.

Namioty cyrkowe rozbijane na tym placu były małe, przedstawienia sztamkowe, odbywały się bardzo wczesną wiosną lub późną jesienią. Pamiętam przerażliwe zimno podczas takiej wizyty, które ciężko odchorowałem.

Potem cyrki na wiele lat przeniosły się w Aleję Wolności, vis a vis dworca autobusowego, ale to nie były już moje cyrkowe czasy.

Mój pierwszy cyrk – pamiętam go jak przez mgłę – to jeszcze czas wojny i moja opiekunka Peła. Rynek Wieluński, figura Św. Jana Nepomucena, kocie łby, blocko, ciasny jednomasztowy namiot. Musiało to zrobić na mnie ogromne wrażenie skoro pamiętam wszystko do dziś, niemal z fotograficzną dokładnością. Do masztu -oświetlonego zawieszoną w górze żarówką, która przygasiała gdy napędzający rowerowym napędem dynamo tracił siły i rytm, lub gdy zmieniał się prądowód elektryk – przykuty łańcuchami siłacz. Półnagi troglodyta, wysmarowany oliwą, opleciony łańcuchami. Werbel, siłacz pręży nagi tors, łańcuchy pękają, jeszcze skute kajdanami nogi i ręce, wszystko rwie niczym papierowe sznurki. Owacje, zgiełk, tumult.

A Cyrk „Francesco”, na placu przy końcu Alei róg Pułaskiego, nowoczesny, elegancki, światowy. Pobudzająca już chłopcę wyobraźnię akrobatka na trapezie w niebiesko-złotym bikini, sztukmistrz wyczarowujący ze zwykłej wody różne napoje, w tym wykwintne modne w tamtych czasach „cacaochoix”, „starowin”, czy popularną „tate z mamą” (dla niepijących lub niewtajemniczonych, spirytus z sokiem wiśniowym w proporcji pół na pół). Lwy, tygrysy i coś tam jeszcze, co musiało nie być ważne, skoro nie pamiętam.

Plac w Alejach gościł nie tylko cyrk. Niemal na stałe działało tam wesołe miasteczko, a raczej plac zabaw, jakże prymitywne wobec dzisiejszych, zmechanizowanych, elektronicznych, ale za to jak ekstremalne. Ogromna karuzela z zawieszonymi na łańcuchach siodełkami, w pędzie działała jak znane dziś w gwiazdnych miasteczkach wirówki dla kosmonautów, wprawiała karuzelowiczów w stan bliski nieważkości. Pisk, krzyk, muzyka, fruujące w powietrzu kolorowe spódnice, kaskaderzy bujający w rozpedzonym wirze krzeselkami, łapiący w locie sąsiadujące, sine ze strachu dziewczyny. Huśtawki w kształcie łódek, które po rozbujaniu wirowały w pionie wokół własnej osi. Pełnię doskonałości osiągnęli ci, którzy utrzymywali się w pionie głową w dół chociaż przez chwilę. Oczywiście wszystkie te popisy były zabronione, o czym informował przez tubę szef interesu lecz to tylko prowokowało, wywoływało większe emocje, a zabawa trwała dalej. Oczywiście nie brakowało krytyki, celowało w tym „Życie Częstochowy”, wreszcie na huśtawkach wprowadzono ograniczniki uniemożliwiające obrót dookoła osi, zwolniono bieg karuzel, spacyfikowano zabawy.

Podobnie na strzelnicy, nie można już było „wystrzelać” butelki wina lub ćwiartki wódki.

Pacyfikacja rozrywek wyeliminowała też „ścianę śmierci”, która gościła na tymże placu. „Ściana Śmierci” była ogromną, o średnicy kilku, a może kilkunastu metrów, wysoką mniej więcej na półtora piętra (w starym budownictwie) beczką. Wokół stało rusztowanie-podest dla widzów. Stało się przy górnej krawędzi beczki, za drewnianą balustradą wzmocnioną stalowymi prętami. Widowisko odbywało się w jej wnętrzu. W dole stały dwa motocykle, czerwony i czarny z wysoko wygiętymi kierownicami, chyba amerykańskie „indiany”. Otwierały się ukryte w drewnianej ścianie drzwiczki, wychodził zapowiadacz-prezenter i anonsował karkołomną jazdę w wykonaniu Tadeusza Lurii. Najpierw miała to być „jazda próbna po pas czerwony” znajdujący się w połowie pionowej ściany, a wolne datki od „stowy wzwyż należ rzucać po skończonej jeździe”. Zapowiadacz zniknął i z tych samych drzwiczek wychodził gwiazdor, demon szybkości, śmiałek gardzący śmiercią. Bohater widowiska odziany w czarny skórzany kombinezon, kask ogromne gogle, pozdrawiał wiwatująca publikę, kłaniał się, przesyłał w kierunku ładniejszych dziewczyn całusy, wreszcie dosiadał czerwonego motoru. Długo grzał maszynę, beczka wypełniała się dymem spalin, hałas narastał, wreszcie ruszał. Pierwszych kilka okrążeń w ciasnej beczce dla nabrania prędkości, potem okrążenia po pochyłym podjeździe, wreszcie



Rys. Grzegorz Nita

wspinaczka na pionową ścianę, wir pędzącej maszyny utrzymywanej siłą odśrodkową, opadanie do najniższego poziomu, by po chwili wspiać się w górę – robiły wrażenie nie przekraczał jednak czerwonej linii. Nagle silnik motocykla milkł, maszyna traciła pęd, dziewczyny piszczały ze strachu, a On szczęśliwie zjeżdżał na dół. Nie był to jednak koniec atrakcji, zapowiadacz głosił już przez tubę następną jazdę, „jazdę śmierci po pas czarny, którą na siedmiometrowej pionowej ścianie wykona Tadeusz Lurii, jadąc z zawiązanymi oczami”! Zaczynał się prawdziwy show, nasz bohater miał na kasku czarną przepaskę, którą po nabraniu szybkości i wysokości ściągał jedną ręką na oczy, po chwili puszczał kierownicę i dalej wirował oddalony od rozentuzjasmowanych widzów o metr, a może mniej. Wszystko trzęsło się, dygotało, hałas, smród spalin, łomot serca niezapomniane emocje. Na koniec zapowiadacz opowiadał historię stojącego na dole czarnego motocykla, na którym zginął poprzednik naszego mistrza, zabijając przy okazji pięciu a może i sześciu widzów, zbierał przy tym chojnie rzucane przez rozentuzjasmowanych widzów czerwone stowy, a nawet brunatne pięćsetki czyli popularne „górniki”. Każdy występ kończyły dyskusje, czy przez przepaskę na oczach widać czy nie i co by było gdyby... tu fantazji dyskutantów nie było końca.

„Ściana Śmierci” też wywoływała krytykę prasy i święte oburzenie tak zwanych czynników, a z czasem zniknęła jak szereg innych atrakcji mojego dzieciństwa.

Zbislaw Janikowski



Waldemar M. Gaiński

Antykwariaty - czy zmierzch książki ?

Jesteśmy świadkami – zdawałoby się – rzeczy niebywałej. Oto na naszych oczach umiera książka. Skutecznie i bezpardonowo wypierają ją tzw. nośniki elektroniczne – komputer, video, internet, dvd.

Nawet ucząca się młodzież chętniej ściąga informacje z internetu, niż posługuje się podręcznikami. Znajomi snobi „czyszczą” swoje regały, bo niepotrzebne teraz książki zajmują im za dużo miejsca w mieszkaniach, no i ... nie są już trendy. Książka – mimo, że droga jak nigdy dotąd – przestaje być przedmiotem dumy i... swoistej lokaty kapitału. Jej rolę przejmują stacje dysków. Księgarnie, a zwłaszcza antykwariaty, odwiedzamy coraz rzadziej. Czy współczesny młody inteligent, nawet humanista, zna to uczucie, towarzyszące wędrownikom między antykwarycznymi regałami? Ten zapach kurzu, farby drukarskiej, tę radość z „upolowania” ciekawej pozycji?

Antykwariaty w Częstochowie można zliczyć na palcach jednej ręki. Pod tym względem daleko nam do Warszawy lub Krakowa. Tym bardziej więc nasi antykwariusze, bardziej hobbyści niż kupcy, godni są szacunku i uznania. Z kilkoma z nich rozmawialiśmy.

Antykwariat „Bibliofil” w Domu Rzemiosła przy ul. Kościuszki, prowadzą młodzi ludzie, małżonkowie Monika i Robert Zarębowie. Niedawno zmienili lokal, poprzednio ich placówka mieściła się w podwórku kamienicy przy pl. Daszyńskiego. Teraz są bliżej centrum, mają większe pomieszczenie i większą przepustowość. Jak twierdzą, chętnie specjalizowaliby się w humanistyce, ale czasy są takie, że trzeba obracać wszystkim. Stąd, oprócz literatury pięknej, beletrystyki, sprzedają też komiksy, romasidla i podręczniki. Ich praca jest też ich hobby, albowiem pp. Zarębowie nie mają specjalistycznego wykształcenia. Ona jest absolwentką Wydziału Zarządzania i Marketingu Politechniki Częstochowskiej, on technikiem mechanikiem. Książki lubili od zawsze. Pan Robert kilka lat pracował w księgarni „U Chłopaków” w II Alei.

Antykwariusz – mówi – to taki sam zawód, jak każdy inny. Ale tu samemu trzeba dużo czytać, bo odczytanie i pewne obycie w świecie książki jest bardzo ważne. Cóż, chyba każdy zawód wymaga pewnych wyrzeczeń i właściwej sprawności umysłowej. To prawda, że obecnie więcej osób chce sprzedawać książki, niż je kupować. Kupujący szukają raczej konkretnych pozycji, rzadko zapuszczają się między półki. Takie czasy. Dziś antykwariusz, aby utrzymać się na rynku, musi też sprzedawać podręczniki. Kiedyś robiły to tylko księgarnie specjalistyczne.

Przy ul. Wolności 33 mieści się antykwariat „Fraszka”, prowadzony przez Władysława Kulawczyka. Ten był pracownik „Domu książki” bukinistyką zajmuje się już od 50 lat. W czasach PRL-u, wraz z Jerzym Badorą, prowadził antykwariat państwowy, w 1989 r. przeszedł na własny rozrachunek. Początkowo sprzedawał książki z wózka, stojąc na rogu Alei i ul. Kilińskiego. Później miał swój lokal na Starym Rynku, w obecnym miejscu funkcjonuje już dwunasty rok. Dlaczego właśnie książka?

W czasie wojny nie było radia – mówi p. Kulawczyk. – Mnie, dziecku wówczas, ojciec czytał książki na głos. No i tak mi chyba zostało. Później studiowałem polonistykę na UJ, ale nie jestem magistrem, mam absolutorium. No i zacząłem pracować jako księgarz. W latach 1968-70 wraz z p. Badorą skończyliśmy studium antykwaryczne. Tak, można powiedzieć, że jestem dyplomowanym księgarzem, antykwariuszem. Mój antykwariat jest dość skromny, w tej chwili mam około 2 tys. tytułów. Boom na książki, to już – niestety – zamierzchła historia. Książka już nikomu nie jest potrzebna. Jest totalne odejście od książki i obawiam się, że ta moda na elektroniczne media już nie minie. Wie pan, ja mam już 70 lat im powoli wybieram się na drugi świat. A tu się po prostu tak bawię, bo trzeba coś robić. Nie prowadzę podręczników, bo tu nie mam takich możliwości. Uważam, że podręczniki to nietypowy towar dla antykwariusza. Podręczników jest po prostu za dużo. Boleję nad tym, że dziś nikt nie kupuje książki na Gwiazdkę lub na Mikołaja. Z książki już nie można żyć, to zajęcia dla wariata lub hobbyisty. U mnie też jest więcej sprzedających, niż nabywców. Ale dobrych pozycji ludzie już raczej nie przynoszą. W księgarniach książki są za drogie, zaś nakłady są niezwykle niskie. Nie specjalizuję się w jakiejś

określonej literaturze, najczęściej schodzą mi harlequiny i kryminały. Dziennie mam jednego, dwóch klientów. Miesięcznie to będzie gdzieś około 40. Ale jeszcze na razie nie dopłacam do interesu.

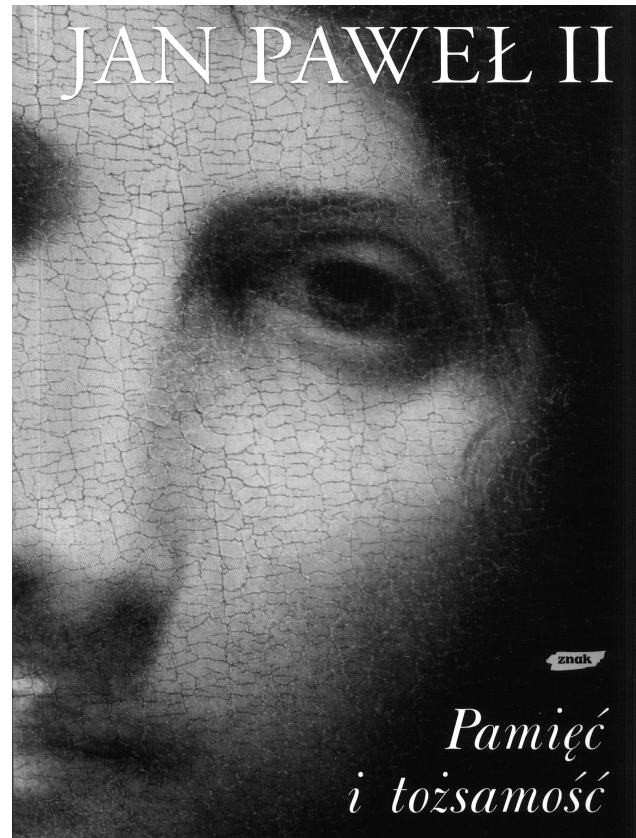
Najbardziej znaną placówką antykwaryczną w Częstochowie jest Antykwarnia „Niezależna” Zbigniewa Biernackiego, mieszcząca się przy ul. Kopernika 4. Właściciel książką zajmuje się od 15 lat, wcześniej był kierowcą – zaopatrzeniowcem, pracował w Niemczech. Z zawody jest technikiem samochodowym. Zawsze dużo czytał i chciał robić to, co lubi, z czego kiedyś może będzie miał jakieś pieniądze. Ma świadomość, że jego zawód jest szlachetnym hobby, zaś antykwariusz to rodzaj profesji zamierającej. *Nie ma już kołodziejów, bednarzy, to i antykwariuszy nie musi być* – z gorzką ironią stwierdza pan Zbigniew. Przyznaje, że 80-90 proc. Jego klientów oferuje książki do kupna.

Ludzie przestali traktować księgozbiory jako lokatę kapitału – mówi. – Ludzi czytających będzie coraz mniej, a coraz więcej ludzi siedzących przed telewizorem i ekranem monitora. Dlaczego więc nie otworzę np. kawiarenki internetowej? Wie pan, nie mam potrzeby jeżdżenia supernowoczesnym samochodem lub posiadania sześciu działek czy pięciu mieszkań. Po prostu to lubię i cieszę. Mam 60 lat i zmienianie konia w czasie jazdy, zwłaszcza w moim wieku, jest po prostu niezdrowe. Jedni mówią mi, że jestem głupi, inni, że wychodzi mi to, co robię. A ja nigdy nie biegalem za milionami. Dzieci mam już dorosłe, po prośbie nie chodzę, do urzędów też często nie zaglądam. Specjalizuję się w regionaliach i to właśnie częstochoviana najlepiej mi schodzą.

Zbigniew Biernacki jest właścicielem swojego lokalu. Tu pracuje, mieszka, śpi. Od 14 lat walczy z administracją o dobudowę do swojego lokalu. Jest też biegłym sądowym z zakresu księgarstwa. Na jednej ze ścian jego antykwariatu skromnie wisi certyfikat Stowarzyszenia księgarzy Polskich uprawniający go używania tytułu rzeczoznawcy księgarskiego w zakresie wydawnictw antykwarycznych.

Pora na wnioski i konkluzję, ale... nie oczekuj tego ode mnie, Drogi Czytelniku.

Waldemar M. Gaiński



PAMIĘĆ I TOŻSAMOŚĆ

Ostatnia książka Jana Pawła II pt. „Pamięć i tożsamość” wydana w gigantycznym nakładzie sprzedała się w księgarniach błyskawicznie i trafiła pod strzechy polskich domów. Naród wierzy – naród kupuje, ale czy czyta i rozumie, to już inna sprawa. O ile „Tryptyk rzymski” – mógł poruszyć proste serca poezją (czytaną nawet na dołączonej płycie przez K. Globisza), z tą prosty, niewyrobyony czytelnik może mieć problemy.

„Pamięć i tożsamość” to zapis rozważań o człowieku zainspirowany rozmowami, które w 1993 r. prowadzili z papieżem w Castel Gandolfo ks. prof. Józef Tischner i prof. Krzysztof Michalski z wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku. W rzeczywistości jest mniej o człowieku, a więcej o historii, przemianach w Europie, totalitaryzmach i filozofii. Tytuł wskazuje też na problem tożsamości narodowej i kulturowej w jednoczącej się Europie. Książka najeżona jest cytatami i odniesieniami do dzieł filozoficznych (średniowiecznych i współczesnych) oraz Biblii, przez co jest nieco hermetyczna i trudna w odbiorze.

Polemizując z filozofami postmodernistycznymi (głównie z Paul'em Riceur'em), którzy dużą rolę w kształtowaniu społeczeństw przypisują zapomnieniu, papież podkreśla rolę pamięci zbiorowej w kształtowaniu się kultur, narodów, tradycji – czyli ich tożsamości. W dużym skrócie na przykładzie



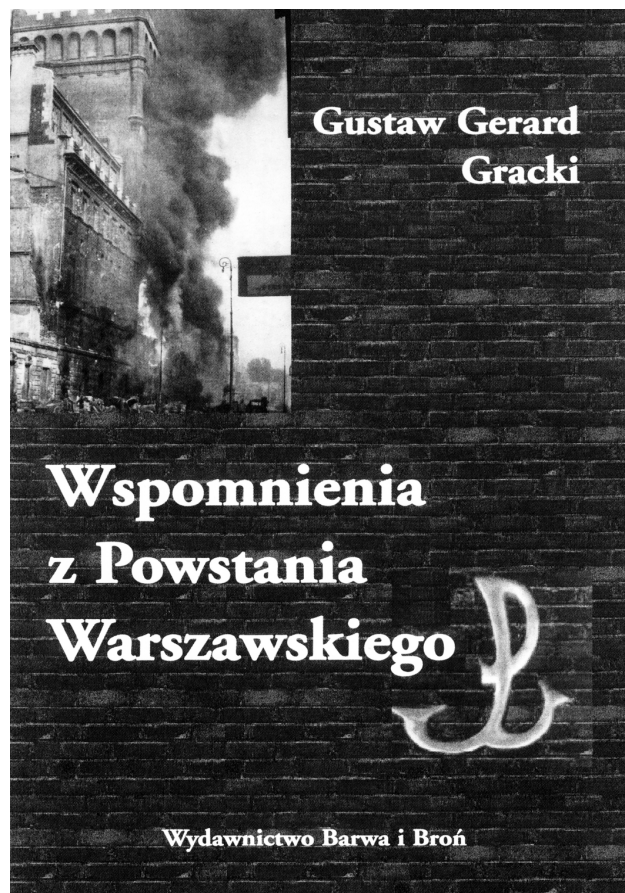
procesu ewangelizacji Europy pokazuje, jakie są prawdziwe korzenie duchowe naszego kontynentu, co znaczy Europa i Europejczyk. W jaki sposób kształtowała się ta kultura i jakie miejsce ma w niej Polska. Tu papież przypomina o naszym wkładzie w kulturę i historię kontynentu, dając do zrozumienia, że nie ma się czego wstydzić i że my wcale nie wracamy do Europy, bo zawsze w niej byliśmy. Temat jest bardzo na czasie, stąd może to polemiczne zacięcie, bo w tekście nowej Konstytucji Unii Europejskiej nie znalazł się zapis o „chrześcijańskich korzeniach Europy”. Udowadniając że są, wskazuje jednocześnie na siły, które ten fakt próbują wymazać z pamięci ogólnej. Tym przeciwnikiem jest tradycja myśli oświeceniowej, żywa w różnych formach do dziś. Wykazując jej główne przewartościowania („cogito” zamiast „sum”) udowadnia, że zaczął zła społecznego, złe pojmowana wolność, prymitywny liberalizm i kolejne, wynaturzone, zbrodnicze systemy totalitarne, to jego owoce. Nie oszczędza też dzisiejszej technokracji brukselskiej, która legalizuje związki gejów i aborcje, posądzając ją o krypto-totalitaryzm i nowy rodzaj eksterminacji.

Dużo dobrego papież pisze o krajach Europy środkowo – wschodniej, widząc w nich ostoję i punkt odrodzenia chrześcijaństwa w zlaicyzowanym, post – tożsamościowym Zachodzie. A to za sprawą trudnej przeszłości, która konserwowała tradycję, zmuszała do sięgania do swoich korzeni. Nadzieję widzi też w krajach Trzeciego Świata, dla których chrześcijaństwo jest siłą scalająca narody, tak jak w Europie na samym początku chrystianizacji.

Jan Paweł II był wizjonerem Europy wartości, wspólnoty narodów szanujących swoją przeszłość i kulturę, skłoną poszerzyć się jeszcze bardziej na Wschód (zgodnie z duchem ekumenizmu) na kraje prawosławne. Jego idee fixe to zjednoczenie wszystkich chrześcijan, zasypanie schizmatycznych podziałów sprzed wieków, stąd też jego poparcie dla Europy – Ojczyzny i zachęcanie nowo przyjętych krajów do większego zaangażowania, do wnoszenia swoich trudnych doświadczeń w bezideowy, merkantylny świat konsumeryzmu. W poszczególnych rozdziałach widać próbę uporządkowania chaosu takich terminów jak patriotyzm, ojczyzna, wolność w sytuacji „podwójnej ojczyzny” (w wielonarodowej federacji).

Drugim bardzo ważnym wątkiem, od którego właściwie zaczynają się rozważania, jest pamięć totalitaryzmów XX wieku, dlaczego do nich doszło, jak była w ogóle możliwa eksplozja zła na tak wielką skalę. Papież doświadczając obydwóch systemów naocznie, na ścieżce teologicznej próbuje tłumaczyć sens jego istnienia. Zło, cierpienie, miłość i dobro – są ze sobą nierozzerwalnie związane. Zło jest częścią dobra (ale dobro zwycięża), cierpienie rodzi miłość, która łączy ludzi etc. Temat zawiły i trudny, autor cofa się w tłumaczeniach aż do pism św. Tomasza. Winnym kataklizmów uznaje wspomnianie już racjonalistyczne ideologie Oświecenia, nie potępiając ich jednak w całości (np. braterstwa). Atakuje też agresywny kapitalizm i dzisiejszy wyzysk biednego Południa przez bogatą Północ. Szuka recepty na lepszy świat, na jego odnowę moralną, tropi wirusa, który tak zepsuł ludzi przez ubiegłe stulecie. **(SB)**

Jan Paweł II, „Pamięć i tożsamość”, wyd. „Znak”, Kraków 2005.



WSPOMNIENIA Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Gustaw Gerard Gracki jest polonistą, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i emerytowanym nauczycielem szkół średnich. Najbardziej czuje się związany z II LO im. Romualda Traugutta. Absolwanci tej szkoły z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wspominają go chyba najczęściej. Zawsze z ogromnym szacunkiem mówią o nim "Profesor Gracki". Był i jest wciąż dla nich postacią charyzmatyczną. Jako doskonały pedagog potrafił zarówno podzielić się swoją ogromną wiedzą z humanistami i wymagać od nich wiele, jak i doskonale przygotować do egzaminu maturalnego miłośników nauk ścisłych.

Jeden z uczestników lokalnego forum internetowego, absolwent II LO z 1985 r. tak opisywał go innym internautom: "Żywą legendą Traugutta" jest Gustaw Gracki, polonista. Dotąd pamięta swoich uczniów, wie o nich wszystko. Wierzę mi, człowiek, z którego lekcji nie chciało się wychodzić, nawet jeżeli szkoła proponowała grupowe wyjście do kina. Z ludzi przez wielkie L, wielu zobaczyło takiego człowieka w postaci Keatinga w "Stowarzyszenia Umarłych Poetów" ..."

Choć profesor Gracki od dawna jest na emeryturze, stara się żyć pełnią życia. Dowodem na to jest także niniejsze wydanie wspomnień z lat, gdy zamiast chodzić do szkoły, poszedł na bitwę o wolną Warszawę i Polskę.

Joanna Tomczyńska-Kokot



EXKLUZIV

Mało kto dzisiaj pamięta, czym były art–ziny (zin – skrót od *magazine*). Postęp technologiczny szybko je wymiółł ze sceny artystycznej i przeniósł do historii. Dzisiaj pisma tego typu można oglądać już tylko w internecie, lub w formie klasycznego magazynu kulturalnego sprzedawanego w kioskach. Okres ich popularności przypadł na lata 1987 – 1994, kiedy istniał jeszcze drugi obieg prasowy (poza cenzurą), a art – ziny tworzyły tzw. trzeci obieg. Nie miały nic wspólnego z polityką, zakładali je młodzi ludzie, kserując swoje gazetki, pokryte collages i drobnym tekstem przepisywanym najczęściej na maszynie. Za ich początek uważa się fan – ziny muzyczne (moda przysłała z Anglii), lecz treści muzyczne zastąpiono artystycznymi. Na początku lat 90. rynek prasowy w Polsce był jeszcze ubogi i słabo zorganizowany, stąd głód publikowania znalazł ujście w pismach kleconych metodą hand – made. W całym kraju ukazywało się około setki takich pism, ale tylko niektóre warte są trwalszej pamięci.

W styczniu br. nakładem warszawskiej oficyny „Lampa”, która od początku patronowała temu ruchowi, ukazały się dwie pamiątkowe antologie: warszawskich „Linii” i częstochowskiego „Exkluziva”. Nas interesuje ten drugi. Gruba (300 stron) książka, zawiera kopie wszystkich wydań tej niepoprawnej politycznie gazetki i jest cennym materiałem poglądowym, wiele mówiącym

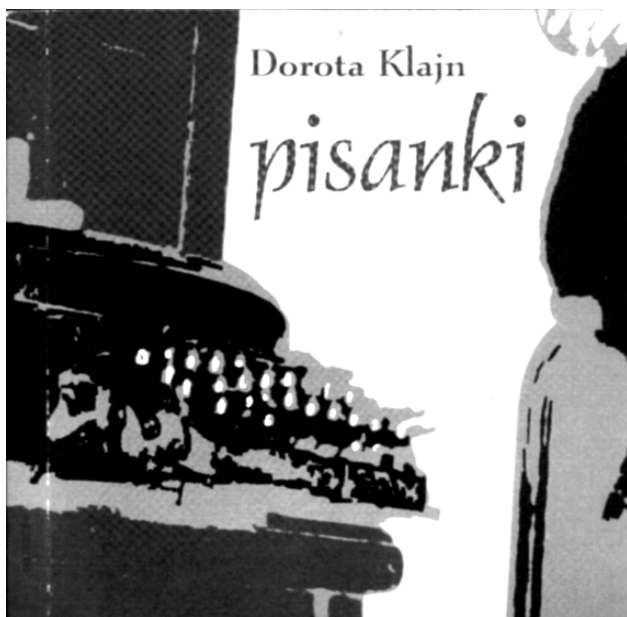
o ideach i klimacie tamtej epoki, jak ją niektórzy dzisiaj nazywają – „wczesnej transformacji ustrojowej”. Częstochowskie pismo należy do najciekawszych w kraju, ze względu na duży ładunek intelektualny i bujne poszukiwania artystyczne. Opublikowano w nim wiele manifestów, z których jeden – „Smrut w butonierce” – uznawany jest za manifest (bez)ideowy pokolenia 89’. Inspirując się literaturą „Exkluziva” 10 lat temu lansowano w mediach kierunek w literaturze najnowszej – Banalizm, który doczekał się wielu opracowań naukowych (ostatnio „Modernizm w Polsce” M. Lachman wyd. Universitas). Niektóre, późne teksty zainspirowały ich następców, którzy na łamach „Rastra” w 1999 r. ogłosili manifest „popsutej literatury”.

Pomijając wartości artystyczne magazynu (jakże odmienna oprawa plastyczna od dzisiejszych periodyków), warto z uśmiechem przyjrzeć się kronice towarzyskiej miejscowego *fin de sieclu*, kiedy większość dziennikarzy częstochowskich była jeszcze studentami lub praktykantami „24 Godzin”, teatrzyk „WIFIFI” zaczynał dopiero próby na WSP, a nad wszystkim wisiało dekadentkie hasło: „nie wiadomo jak jest, jak było, jak będzie”. Podejrzewam, że zakładając ten magazyn „subiektywny”, jego twórcy nie planowali niczego znaczącego, lecz pragnęli zamaniestować swoją odrębność, oddać się żartom środowiskowym, hucpie literackiej itp. Ale przypadkiem zrobił się duży hałas, z czym nie mogą się (niektórzy) do dzisiaj pogodzić. Ten okres jest jednak zamknięty i art – ziny trafiły do archiwum Biblioteki Narodowej, gdzie są badane przez naukowców. Nie bez powodu uznaje się je za ostatnią czkawkę awangardy XX wieku, gdyż bezpośrednio się do niej odwoływali. A że wyszło im przy okazji coś innego, to już inna sprawa. „Exkluziv” i jego hybrydy („Nootropil” i „Fenactil”) był najbardziej podkreślającym swoje związki z regionem magazynem w kraju. Ogłoszono w nim m.in. manifest Regionalizmu „Jesteśmy tutejsi” (skierowany przeciwko Mazowszu), wydzielono nurt poezji częstochowskiej, budowano mitologię jurajską. Dziś zamiast o częstochowskim szowinizmie pisaliby o śląskiej okupacji, tak jak w 1991 o bezpieczeństwa – obywatelach zlikwidowanego PRL – u. Już wówczas zapowiadał powrót nostalgii za Polską komunistyczną, jak za jakimś rajem utraconym...

„Exkluziv” to nie tylko relikw „epoki xero”, ale także przykład, jak można robić ciekawe pismo kulturalne, bez zażęcia i powielania tej samej papki z innych bełkotliwych pism. Myślę że pewne idee i poglądy estetyczne na sztukę zawarte w tym magazynie zainspirują jeszcze jakieś pokolenie, że manifesty Kaloryzmu, Gastronomizmu, Subiektywizmu czy Grafomanii Pozytywnej pobudzą jeszcze do twórczego i konceptualnego myślenia młodych adeptów sztuk pięknych, czy studentów filologii polskiej. W końcu jest to też kopalnia wiedzy o folklorze krajowego ruchu „zinowego”, bo twórcy w pewnym momencie zaczęli działać na scenie międzymiastowej. Jednak przestrzegalbym przed czytaniem całości, bo nie wszystko jest na poziomie i nie zawsze czytelne. Dla laików wystarczy, jak zapoznają się z pigułkowym przedrukiem fragmentów w styczniowym magazynie „Lampy”.

S. Burszewski

„Fenactil. Nootropil. Exkluziv. 1991-94”, Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2005.



PISANKI

Wydawnictwo „Bulion” nie grzeszy aktywnością wydawniczą. W ub. roku wydało zaledwie dwie pozycje plus magazyn o tej samej nazwie. Późną jesienią ukazał się zbiorek prozy Doroty Klajn „Pisanki”, wcześniej tomik wierszy Wioli Grzegorzewskiej, który już na naszych łamach recenzowaliśmy. Kilka słów o „Pisankach”.

Oczywiście nie chodzi tu o wielkanocne pisanki, lecz rodzaj osobistych zapisków, pamiętnik utrzymany w lirycznej i refleksyjnej formie, także dziennik podróży, bowiem Dorota Klajn studiuje literaturę na Uniwersytecie im. Paula Valéry’ego w Montpellier we Francji. Z tego pewnie powodu jej zapiski (kiedyś pewnie pisałaby na pudełku od zapałek) są przesiąknięte południowym słońcem, internacjonalizmem przemierzania się, klimatem tymczasowej emigracji, europejskim oddechem. Częstochowa jest dla niej gorzkim wspomnieniem, gdzie wolność kojarzy się z zamkniętym kinem (już czynne!). Zadurza się z lubością w miejskich pejzażach akademickiego miasteczka, chłonie jego dziwactwa i architektoniczne ciekawostki, wykazując się przy tym zmysłem spostrzegawczości. Biblioteka w tym mieście to... „wydrążona w kamieniu Arka Noego”. Gdzieś tam przebija w drugim planie nostalgia za znajomymi, sympatią i domem, ale nie jest to szczególnie doskwierające uczucie, bo piękne otoczenie znieczula wszelkie bóle duchowe („Moje miasto wypchnęło mnie na zewnątrz, miasto dzieciństwa”, „Jestem niepotrzebna w czasie małej Częstochowy”), a i wracać do miasta „nieciekawego i szarego” niespecjalnie się chce. To oczywiste, że Jura nie równa się do Prowansji i Lazurowego Wybrzeża, ale jest to niemiły prztyczek w rozdziale „Czas pielgrzymy”.

Drugi rozdział – „Dni z nim” – poświęcony jest relacji uczuciowej z przyjacielem. Trochę tęsknoty, mrużenia, wspomnień, smakowanie odłamków pamięci. Wspomnienia

są mocno spersonifikowane, a nawet „rozbite anatomicznie” („Mogłabym zostać studentką Twojego przedramienia”). Szczególnie podoba mi się „Bolero Ravela” zapisane dla odmiany w formie wiersza, będące zmysłową metaforą aktu miłosnego. Dla reszty szkoda uwagi.

U Klajn mocną stroną jest język, dopracowany w szczegółach, pełen poetyckich metafor i śmiałych, niekiedy surrealistycznych skojarzeń. Czytając czuje się ciepło, zapach, porę dnia, powietrze, roślinność, rosę na trawie, prawie jak na płótnach Moneta czy Renoira. Wszystko to razem oddaje wzruszenia, które szarpnęły duszą autorki i udziela się czytelnikowi. Śródziemnomorska kolorystyka osładza nieco jej gorzkawe, depresyjne refleksje filozoficzno – egzystencjalne, dzięki czemu nie są ponure i ostateczne. Gdzieś tam tylko przemykają między słońcem poranka a płatkami śniegu grudnia.

Czytałem książeczkę (ledwie 50 stron) z przyjemnością porównywalną do jedzenia torcika z ananasami, bo moda na blogi jest już trochę męcząca, tak jak wszystko, co jest doraźne i bieżące. Pewien stoicyzm i dystans w tej miniaturowej książeczce to dużo i świadczyć może o dojrzewaniu debiutującej pisarki. Sięganie do starożytnej filozofii czerpania z życia przyjemności, kontemplowanie najprostszych codziennych czynności – to recepta pani Doroty na szczęście. Wystarczy dostrzec piękno świata i życie i będzie od razu lepsze! Człowiek stanie się bratem drugiego człowieka! W prologu „Rozmowa z panem Poetą” tłumaczy korzenie swojego misjonarstwa: „(...) Piękno jest przecież w naszym zasięgu, jest przyczyną naszego wzruszenia i naszego powstania. I ja też, tak bardzo chciałabym o tym wszystkim opowiedzieć. Żeby kochać życie w najmniejszych przejawach i tylko dawać, dawać, dawać i z tego dawania brać jak najwięcej (...)”

„(...) Gdybyśmy wszystko już minęli, Świat już dawno by się skończył z wyczerpania możliwości. Zawsze do przeżycia będzie miłość, szaleńcza jazda na rowerze z górki (...). Czy może jednak zachwył nad światem wystarczy, by go pięknie przekazać? A wrażliwość? Pomoże mi Pan? Panie Wielki Poeto?”

Niechący dowiedziałem się, dlaczego Sztuka nigdy nie umrze, skąd się bierze jej fascynujące perpetuum mobile...

Dla zasady porównuję tą książkę z podobną – „My zdies emigranty” Manueli Gretkowskiej sprzed 15 lat, bo sytuacja życiowa i francuskie realia są podobne, lecz tu nie widzę dramatu istnienia, sprzeczności świata, paryskich dysonansów, drastyczności którą epatowała Gretkowska. Być może teraz studiuje się za granicą w lepszych warunkach, a może kobiety zaczęły pisać inaczej, a może Klajn brakuje drapieżności Gretkowskiej. Może pełne antycznych zabytków południe rozmiękczyło jej prozę, uczyniło z „Pisanek” wakacyjną przygodę, a przy okazji natchnęło ją do szukania międzyludzkiej harmonii. Jestem ciekawy, czy Klajn będzie wierna swojemu radosnemu i naiwnie szczeremu credo i co napisze w przyszłości, kiedy na jej osobowości odcisnie się nieco piętno czasu i życiowe, mniej barwne doświadczenia. Ciekawe też, co napisałaby, gdyby studiowała w chłodnej Szkocij? **(SB)**

Dorota Klajn, „Pisanki”, Wyd. „Bulion”, Częstochowa 2004.

Listy do Redakcji

O Turnieju Jednego Wiersza

Wpadł mi w ręce najnowszy numer pisma Aleje 3, a w nim znalazłem rzecz, która mnie oburzyła. W piśmie znalazły się utwory wyróżnione w Turnieju Jednego Wiersza. Jeden z nich (bez tytułu) figuruje jako tekst Marty Smoleń. Oto treść: „Bóg umarł – Nietzsche / Nietzsche umarł – Bóg”. Jak przeczytałem, Marta Smoleń dostała nawet za niego nagrodę finansową od jury w bardzo profesjonalnym składzie.

Niestety, doszło do nadużycia. Tekst ten nie jest autorstwa Marty Smoleń, ale był jednym z haseł amerykańskiej kontrkultury lat 60., a Czesław Miłosz wykorzystał go nawet jako motto w książce „Widzenia nad zatoką San Francisco” wydanej już w 1969 roku. Rozumiem, że częstochowska poetka czerpie z najlepszych wzorów, a jury doceniło błyskotliwość utworu, ale na nagrodę nie zasłużyła.

Obawiam się, że ta historia rzuca cień na sympatyczną imprezę jaką są cykliczne Turnieje Jednego Wiersza i powinna zostać wyjaśniona przez organizatorów z Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, którego działalność bardzo cenię.

Pozdrawiam - Jacek Noszczyk, „Gazeta Wyborcza”.

Od Redakcji:

Drukując utwory nagradzane w Turniejach Jednego Wiersza, kierujemy się chęcią popularyzacji twórczości młodych poetów częstochowskich. Dla niektórych autorów publikacja na naszych łamach bywa debiutem literackim.

Wiersze, które wygrywają w poszczególnych edycjach Turnieju - uzyskując aprobatę kompetentnego i fachowego jury – po prostu udostępniamy szerszej grupie czytelników.

Po zapoznaniu się z listem naszego Czytelnika, organizatorzy Turnieju Jednego Wiersza udzielili nam następujących wypowiedzi:

Przewodniczący jury październikowej edycji Turnieju:

Podczas turnieju jury nie ma ani czasu, ani możliwości zweryfikowania (w oparciu o źródła drukowane) podejrzeń co do znajomości brzmiących sformułowań czy fragmentów tekstów, prezentowanych przez uczestników turnieju. Jurorzy muszą

w takich wypadkach polegać wyłącznie na własnej pamięci, a ta 0 jak się raz jeszcze okazało – bywa zawodna. Nawiasem mówiąc, na identyczność wiersza p. Smoleń z mottem użytym przez Miłosza nie zwrócił też uwagi obecny na turnieju, znany w środowisku literackim całej Polski poeta, krytyk literacki i profesor historii literatury, którego nazwisko pominę z uwagi na kontekst sprawy.

Podczas wcześniejszych edycji turniejów p. Smoleń prezentowała wiersze napisane samodzielnie. Niejednokrotnie ich wartość była zauważana, a zdaje się, że i nagradzana przez jury konkursu. Po cóż więc p. Smoleń miałaby posługiwać się cudzym mottem jako własnym wierszem? Być może sama, niejako równolegle, choć po czasie, wpadła na pomysł aforystycznego rozwinięcia powszechnie znanej myśli Nietzschego. Może też jest to efekt nieświadomej reminiscencji z lektury książki Czesława Miłosza.

Wiesław Leszczyński

OPK "Gaude Mater" - organizator Turnieju:

Jest nam niezmiernie przykro, że jedna z uczestniczek organizowanego przez nas Turnieju Jednego Wiersza zaprezentowała cudzy tekst jako własny i otrzymała za to nagrodę. Pragniemy jednak wyjaśnić, że nie ingerujemy w pracę zapraszanego przez nas jury. Od pierwszej edycji Turnieju, który miał miejsce 30 października 1996 roku istnieje Regulamin Turnieju Jednego Wiersza o Nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Określa on bardzo precyzyjnie warunki konkursu, jakie powinny być spełnione zarówno przez uczestników, jak jury i organizatora. Regulamin ten jest odczytywany każdorazowo przez przewodniczącego jury przed prezentacją wierszy ze szczególnym naciskiem na punkty 2 i 3, które mają następujące brzmienie:

2. Wiersze zgłoszone do Turnieju nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych turniejach lub konkursach poetyckich.

3. Każdy autor sam przedstawia swój wiersz, opatrzony własnym nazwiskiem.

Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” wyraża ubolewanie z powodu niefortunnego wydarzenia i w załączeniu przesyła regulamin turnieju z prośbą o publikację w Kwartalniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje3”.

Z wyrazami szacunku Mariola Florek

Od Redakcji:

Stanowiska autorki(?) kontrowersyjnego utworu na razie nie znamy.



PLEBISCYTY

Początek roku to okazja do wszelkiego rodzaju plebiscytów. W OKF widzowie głosowali na „Złota Piątkę” AD 2004. Wygrały „Pręgi” M. Piekorz, według książki S. Kuczoka „Gnój” (powieść nagrodzono również ubiegłoroczną Nike), drugie miejsce zajęła „Dziewczyna z perłą” P. Webbera, trzecie „Między słowami” S. Coppoli, czwarte „21 gramów” Inavritu, piąte „Złe wychowanie” P. Almodovara. Widzowie ośrodka cenią polskie kino niekomercyjne, i już trzeci raz z rzędu najwyższą ceną polską produkcję. Czy tylko z patriotyzmu?

Miejski plebiscyt na wydarzenie i twórcę roku rozstrzygnęła także lokalna „Gazeta Wyborcza”. Czytelnicy za twórcę roku 2004 uznali w głosowaniu Jarosława Kweclicha – wykładowcę Akademii im. Jana Długosza, autora aranżacji wystawy „Żydzi Częstochowianie”. Ta wystawa została także „Wydarzeniem Roku”. Honorową statuetkę „Twórcy roku” przyznano pośmiertnie malarzowi Jerzemu Dudzie – Graczowi.

ATLANTIS

TOMEK SETOWSKI



ATLANTIS

March 15 - April 09, 2005

InterArt GALLERY
122 Tenth Ave., New York, NY 10011
www.interartny.com

Przez kilka wiosennych tygodni Galeria InterArt w Nowym Jorku prezentowała malarstwo Tomasza Sętowskiego.

Na rynku amerykańskim Sętowski zadebiutował w roku 1998, kiedy to galeria Stricoff Fine Art wyłowiła go z grona kilkudziesięciu artystów z Europy Środkowej. W latach 2001 - 2004 artysta pojawił się na największych targach sztuki Artexpo w Nowym Jorku, prezentując się pod własnym szyldem „Museum of Imagination” (Muzeum Wyobraźni). Nowojorska galeria InterArt specjalizuje się w prezentacji twórczości z tzw. kręgu „fantastycznego”.

OBLĘŻENIE NA MONETACH

Jubileusz 350 – lecia obrony Jasnej Góry przed Szwedami będzie miał swoją pamiątkę na monetach. Narodowy Bank Polski planuje wyemitować w sierpniu srebrną 20 – złotówkę i niekruszcową dwuzłotówkę w serii „Zabytki kultury materialnej w Polsce”. Wcześniej w tej serii upamiętniono m.in. zamek w Pieskowej Skale. Dwuzłotówek zaplanowano 900 tys., dwudziestek 64 tys.; projekt graficzny nie jest jeszcze gotowy. Warto by jubileusz Obrony Jasnej Góry uhonorować dobrym pomnikiem, np. Kmicica niszczącego wrażą kolubrynę. Byłaby to niewątpliwie duża atrakcja turystyczna, przy której chętnie robiono by sobie pamiątkowe fotografie...

SUKCESY MŁODYCH

Młode pokolenie atakuje. Praca 17-letniej uczennicy Liceum Plastycznego, Joanny Sikorskiej przedstawiająca embrion, będzie ozdobą polskiego pawilonu podczas światowej wystawy EXPO 2005 w Aichi w Japonii. W ten sposób nagrodzono Joannę za zajęcie II miejsca w konkursie Ministerstwa Środowiska i Krajowej Izby Gospodarczej „Mądrość natury”.

Częstochowska grupa „69” zakwalifikowała się do finału konkursu „Rock’n roll Music Festival” organizowanego przez katowicką fundację „Debiuty”.

SILNIE RAŻĄ NAS ROCKIEM

Wybijający się częstochowski zespół „Rażeni Piorunem” z sukcesami wystąpił w ub. roku na kilku znaczących festiwalach muzycznych. W roku bieżącym utwory „Rażonych” znalazły się na ważnych tzw. składankach muzycznych – „MiniMax” Piotra Kaczkowskiego i „Cały ten Rock” Marka Wiernika.

W SANATORIUM

Tak, to prawda. Znany poeta i krytyk literacki a współpracownik naszego kwartalnika przez jakiś czas będzie nieobecny, ponieważ losy rzuciły go za lasy - do Herbów.



④

HALINA POŚWIATOWSKA

1935 - 1967

poetka



⑤



⑥

1. Stany Zjednoczone, Yorkers, styczeń 1959
2. Częstochowa, wiosna 1966. Z psem Timofiejem
3. Stany Zjednoczone, nad Atlantykiem, lato 1959
4. Stany Zjednoczone, nad Hudsonem, lato 1959
5. Z rodzicami. Częstochowa 24.06.1941 r.
6. Na „Batorym”, lipiec 1961
7. W Montrealu, 1961

I str. okładki: zdjęcie z okresu nauki w liceum
im. J. Słowackiego, Częstochowa 1951

IV str. okładki: z matką i siostrą Elżbietą,
Częstochowa 1944

Fotografie z archiwum Zbigniewa Mygi



⑦

